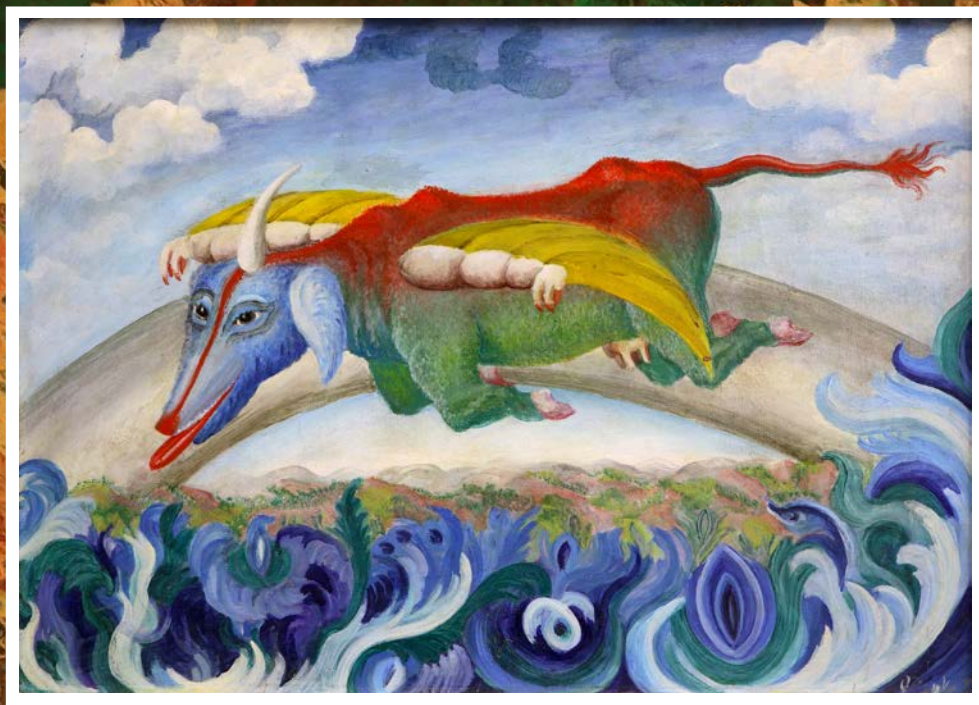


FORUM 94

MYŚLI WOLNEJ

krakowski magazyn racjonalistów



Teofil Ociepka
Fruwająca krówka z Saturna

W numerze m.in.:

- Tadeusz Żeleński-Boy, *Wernyhora*
- Tadeusz Kotarbiński, *Przykład indywidualny kształtowania się postawy wolnomyślicielskiej*
- Danuta Stolarek, *Żony Iwana IV Groźnego*
- Mieczysław Jakubiec, *Z nadzieją...*



OD REDAKCJI

- 1 Wymyślanie zlego

TEMATY SPRZED LAT

- 5 T. Boy Żeleński – *Wernyhora*
Piotr Augustynek – *Wstęp i opracowanie –
Żebrak – nie żebrak, a posłuchać warto*

MYŚLAĆ BELFREM

- 8 Piotr Augustynek – *Hit Hit – Hura! Wracamy do szkoły!*

W STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

- 10 Kazimierz Pasenkiewicz – *Pomoc akademikom
powracającym z wojska*

SZLAKIEM SZTUKI KRÓLEWSKIEJ W POLSCE

- 19 Bogumił M. Woźniakowski – *Gliwicowie: trzy pokolenia
wolnomularskie*

ETYKA DLA MŁODZIEŻY

- 26 Tadeusz Kotarbiński – *Przykład indywidualny kształtowania
się postawy wolnomysłicielskiej*

SPACER PRZEZ HISTORIĘ

- 31 Danuta Stolarek – *Żony Iwana IV Groźnego*
45 Marian Toporek – *Teatr Rapsodyczny (1941-1953), cz. II*

FELIETONY

- 49 Mieczysław Jakubiec – *Z nadzieją...*
51 Babcia – *Zryty beret*
52 Marchoń – *Herbatka z misiem Paddingtonem*

KRONIKA

- 54 Józef Kabaj – *Spotkanie z Boyem pod Boyem – 2022*
Uroczystości rocznicowe pod pomnikiem
T. Boya-Żeleńskiego – fotoreportaż

61 Z PORTALI INTERNETOWYCH

RADA PROGRAMOWA:

prof. dr hab.
Krzysztof Woźniakowski
– przewodniczący Rady,

Członkowie:

prof. dr hab. Adam Chmielewski,
prof. dr hab. Stanisław Ignacy Fiut,
prof. dr hab. Jerzy Kochan,
prof. dr hab. Jerzy Kornaś,
prof. dr hab. Józef Lipiec
dr Paweł Sękowski,
prof. dr hab. Piotr Szydłowski,
prof. dr hab. Jan Woleński.

ADRES REDAKCJI:

30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
tel. 12 423-50-16; 501 567 547
e-mail: j.kabaj@wp.pl
sekretarz redakcji: tel. 501 286 053

Wydawca:

Rada Wojewódzka
Towarzystwa Kultury Świeckiej,
30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
www.forummysliwolnej.pl
Dom Fundacyjny
im. Lidii i Leona Świeżawskich

Skład, łamanie i druk:

Agencja Reklamowa Novum
31-158 Kraków, ul. Krowoderska 66/8
www.novum.krakow.pl

ISSN 1507-4781, Index 325813

Redaktor naczelny: Józef Kabaj. **Zespół redakcyjny:** Piotr Augustynek (sekretarz), Sławomir Brodziński, Mieczysław Jakubiec, Antoni Pietryka, Henryk Szydłowski, Artur Kozioł (red. techniczny). **Współpraca redakcyjna:** Alicja Górowska.

Opracowanie graficzne: Piotr Augustynek.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania tekstów i zmiany tytułów. Nie odsyłamy materiałów niezamówionych. Artykuły naukowe są recenzowane przez samodzielnych pracowników nauki.

Portrety postaci historycznych oraz reprodukcje dzieł sztuki zaczerpnięte z zasobów Wikipedii.

WYMYŚLANIE ZŁEGO

Jest Złe? Jest. No to po co jeszcze je wymyślać? Nie takie to proste, jak się na pozór wydaje.

To Złe, piszą – niestety – dużą literą. Jeśli zaś przejść na zwykłą mowę, coraz mniej uzależnioną od tej „teologicznej”, okaże się zaraz, że nie wiadomo, o co chodzi. Bo pojęcie „bóstwo” uosabia raz jedno (Bóg Najlepszy Największy – DOM, jak to pisano do niedawna na nagrobkach z myślą nie wiedzieć czemu: Bogu Najlepszem Najwyższemu, *Deo Optimo Maximo*), w domyśle chyba „cześć i chwała na wieki” (bo zabrał do siebie zmarłego?); drugim razem zaś ubóstwia się Jego przeciwieństwo, czyli bóstwo złe – jak to praktykują różnorodne formy satanizmu; także w obrębie danego systemu jakoby monoteistycznego, w którym bez diabła ani rusz. Ma to równie starą metrykę, jak... nedorzeczną.

A co właściwie znaczy owo przeciwieństwo Złego, pisane Bóg, lub Bóg -Człowiek?

Studiujemy to zagadnienie dziesiątkami lat osobiście, a jako ludzkość – która jakoby nie może obejść bez tego Czegoś – setkami, a nawet tysiącami lat. Jednak dorzeczonej odpowiedzi nadal brak. Największa – lub najwyższa – doskonałość (a czy doskonałość może być mała czy niewysoka?), najlepsza dobroć – tak samo. Plączemy się w tej siatce pojęciowej jak ryby w sieć schwymane. Doszło już nawet do tego, że usprawiedliwia się zło rzekomą mądrością, że „nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło”. Toż to zakamuflowane usprawiedliwianie także i wyrządzenia zła; by nie powiedzieć, że jego ubóstwianie. No bo jeśli każde zło (taka jest implikacja zwrotu „nie ma tego złego” – inaczej: takiego zła), generuje jakieś dobro (inaczej: obraca się w dobro), w takim razie czynienie zła, jak na przykład wyrządzenie komuś krzywdy, może nawet – paradoksalnie – okazać się „lepsze” od czynienia dobra. Tak, tak! Do tego prowadzi owa słynna (Pawłowa zresztą) doktryna, mówiąca o tym, że mądrość światowa jest „głupstwem u Boga”; to zaś, czego ludzie – nie mogąc pojąć – uważają za nedorzecznosc, jest właśnie najgłębszą i prawdziwą „mądrością”. Oto przykład. Słyszeliśmy nie tak dawno wyznanie jednego z profesorów belwederskich, czyli „z najwyższej półki”, a jednocześnie radę i (jak się można domyślać) usprawiedliwienie własnej odmowy wyrządzenia komuś przysługi: „Zrób komuś dobrze, a na pewno będziesz tego żałował”.

Wygląda więc na to, że mamy tu do czynienia faktycznie z monoteizmem, nie zaś z jakimś ukrytym dyteizmem (typu dajmy na to manichejskie-

go, gdzie zakłada się istnienie dwóch równosilnych bogów: tego dobrego i tego złego, którzy ścierają się ze sobą – można by powiedzieć – o strefy wpływów.

Nasuwa się wobec tego przypuszczenie, że być może ten „nasz” dobry Bóg, który jakoby „wszystkim rządzi”, czyli zdecydowanie (przynajmniej) góruje nad tamtym złym, w istocie rzeczy uosabia raczej Człowieka-Bohatera, zmagającego się z Diabłem lub demonami, dokuczającymi ludziom? Odnosi przy tym rany, i to straszliwe; nawet daje się zabić najokrutniej, lecz – jak to bóg – zmartwychwstaje, a nawet powtarza ten cud co roku; i to o wiele dłużej – tak w każdym razie twierdzą niezależni, tj. niekonfesyjni, historycy religii (l. mn.) niż 2 tysiące lat.

Wiele ludzi powiada: jestem odporny/odporna na takie spreparowane argumenty. Odpowiedź może być taka: – Jeżeli Jest Pan/Pani odporny/odporna na tego rodzaju argumenty, a właściwie to informacje, to co Pan/Pani powie na to, że dziewica urodziła dziecko i pozostała nadal dziewicą? Jakim sposobem?

PÓŁZARTEM

W starożytności wykryto to i owo.

Np. trygonometrię, czyli znajomość mierzenia trójkątów – do dziś używaną choćby w triangulacji. Bo Ziemia nie jest płaska i kwadraty gorzej się spisują przy odwzorowywaniu jej powierzchni niż trójkąty. Spotykamy jeszcze gdzieś „wieże triangulacyjne”.

A jak powiązać piękno z dobrem? Starożytni myśliciele to wymyślili: kalokagathia.

I co się potem porobiło? Przyszli „nomadzi” z Palestyny i narzucili swoje kryteria piękna i dobra. Piękne według nich jest to, co nieskończenie odległe i nieuchwytnie. Dobre – tak samo. Niestety.

PYTANIE

Dlaczego płacąc składkę ubezpieczeniową „zdrowotną” fundujemy leczenie, operacje, rehabilitację, a nawet rentę inwalidzką komuś, kto przez własną głupotę, lekceważenie czy chamstwo spowodował wypadek, w którym odniósł obrażenia? W imię czego, jakiej wartości?

Już wiem: w imię tolerancji – po polsku pobłażania – dla wymienionych „wartości” tradycyjnych, będących produktami też tradycyjnej ciemnoty.

W świecie regulacji prawnych jest wprawdzie zasada, że nieznajomość prawa nie zwalnia z odpowiedzialności za wykroczenie czy przestępstwo. Ale głupota? Czyżby ustawodawca tego nie przewidział? A może nie wziął pod uwagę, ponieważ głupota jest objęta ochroną? Może to nasza specjalność, istny skarb narodowy?

Widać to gołym okiem i niemal na każdym kroku, że głupota nie tylko podlega ochronie, lecz nawet jest premiowana prominenckimi stanowiskami; a co za tym idzie – wysoką pozycją społeczną. – Cóż z tego, że rznie głupa? Ale jest pożyteczny (-a). Taką mamy tradycję, że głupiego nikt się nie obawia. Tymczasem...

Szkody powodowane przez głupców podejmujących beznadziejnie durne decyzje są niewyobrażalne. Jak widzimy – odbijają się łącznie na naszym „dobrostanie”. Przyjdzie jesień i zrobi się zimno pomimo ocieplania się klimatu. Bardzo zimno. Nie było mądrego, który by poparł w Sejmie projekty popierające alternatywne źródła energii? Wiatraki czy inne? Tymczasem uchwalono zniesienie zachęt finansowych nawet dla instalujących fotowoltaikę.

PORZĄDEK

Większość ludzi przestrzega porządku. Miliardy na świecie, a w naszym Kraju grube miliony. Intuicyjnie.

Gdzieś tam mamy bowiem zakodowane (mówi się, że z tyłu głowy – chodzi pewnie o starą pamięć), że jeśli nie chcemy, żeby ktoś nas na przykład przejechał, to nie najeżdżamy na innych. Można to też nazwać pamięcią pokoleniową tych, co przeżyli. Spodziewamy się więc, że jeżeli my nie będziemy najeżdżali innych, to będzie mniej wypadków.

Nie dotyczy to jednak – jak się wydaje – polityków, którzy sprawują władzę. Są jak widać przeświadczeni, że nikt ich nie potrafi, bo... mają immunitety. Tymczasem ktoś może ich „potraścić”. Żeby nie zniszczyli do cna tej struktury ładu, zapewniającego ludziom poczucie bezpieczeństwa i też samo bezpieczeństwo, czyli po prostu życie we względnym dobrostanie.

WYMIANA SPOŁECZEŃSTWA

Pojawiło się kiedyś – niezbyt dawno – takie hasło. Właściwie chodziło o to, że społeczeństwa wymienić nie sposób. Jest jakie jest. Ale czy mamy tego świadomość, kto i na czyj użytek je tak uformował, że głośnie pod dyktando małego dyktatora?

Otóż głosi się wszystkim i każdemu z osobna, przez niezliczone godziny katechezy od przedszkola po poradnictwo (w tym prorodzinne) dla dorosłych, że Kościół zakładał szkoły, a nawet akademie. A czego w nich nauczał? Katechizmu, czyli stosowania w życiu jego reguł; z pożytkiem doczesnym głównie jego funkcjonariuszy, a wiecznym głównie jego owieczek. Na Akademii Krakowskiej najwyższą pozycję miał magister teologii – coś jak dzisiejszy profesor zwyczajny, zwany też belwederskim.

I jak tu wymienić tak ukształtowane społeczeństwo, przekonane o konieczności posłuszeństwa, a przynajmniej kierowania się wskazówkami – jak najbardziej praktycznymi – kapłanów, jak najbardziej oderwanych od rzeczywistości? Nie da się. Chyba że się dokona odmiana pokoleniowa, której jaskółki się pojawiają tu i ówdzie. Na Podkarpaciu rzadziej, lecz jednak. Podobnie rzadziej na Podlasiu, niż w okręgach bardziej uprzemysłowionych czy odrodzonych za sprawą migracji po drugiej wojnie. Oderwanych od korzenia tradycji i praktyki poddaństwa Dworowi i Kościołowi.

Był tam jeszcze trzeci czynnik w trójce, mianowicie karczma. Własność i dodatkowe źródło dochodu Dziedzica, który zwykle ją „spuszczał” Proboszczowi; ten zaś – dla przyzwoitości, która się nagle w XX wieku pojawiła – Żydowi.

Po sumie szło się na wódkę, ponieważ chłopci znaczącą część wynagrodzenia za pracę „na pańskim” otrzymywali w... gorzałce. Laniej przez Żyda, rozliczającego się z kolei z Proboszczem, któremu Dziedzic wcześniej oddał karczmę „w pacht”. Stąd nazwa „pachciarze”. Komu tym określeniem docinano? Oczywiście Żydowi. Bo to on rozpijał chłopów, podając im wynagrodzenie za robotę na „pańskim” – rodzaj deputatu, którym Jaśnie Pan Dziedzic płacił (częściowo) chłopom po tym, jak spadły mu dochody z eksportu pszenicy, kiedy kraje zachodnie rozwinęły własną produkcję zbożową i zaprzestały importu ziarna z Polski. Pozostała więc w grze nowość, czyli ziemniaki – łatwe w przerobieniu na „procenty”.

Szlachta bowiem załatwiła sobie u Świętego Majestatu Królewskiego Króla Polski, Litwy, Rusi etc. etc. przywilej propinacyjny, czyli wyłączność na destylację i wyszynk gorzałki.

PEDERASTIA I PEDOFILIA

Wbrew prymitywnemu, nieraz wulgarnemu wręcz podejściu (nie powiem rozumieniu, bo to z rozumieniem nie ma w sam raz żadnego związku), pederastia miała w starożytności pozytywny wydźwięk. No bo jakże nie kochać dzieci? Taki bowiem jest źródłosłów tego pojęcia.

Zachowały się przekazy (przede wszystkim Platona), że Sokrates (ponoć nieurodziny i nie zawsze młody), miewał na swoich kolanach chłopców, którzy się do niego tuliili. A potem zostawali takimi Platonami czy Ksenofontami. Może czerpali z niego jakąś energię? Jakąś zachętę przynajmniej? Do czegoś wzniosłego, do czegoś więcej? Do czegoś dobrego i ważnego? Może nawet pięknego?

Uczymy studentów filozofii o zbitce pojęciowej, a przede wszystkim wartości, jaką niesie starogreckie pojęcie **kalokagathia**: „pięknodobre”. Tego bowiem uczył Sokrates, że dobre jest piękne. I na odwrót: co jest piękne, ma być dobre. A jak nie – to nie.

Tak więc w tej tradycji kulturowej dobro-piękno-miłość są kategoriami nierozłącznymi. Tradycji starogreckiej.

Rzym też nie mało stamtąd przejął – pomimo swojego skrzywienia militarystycznego. Grecy też byli nade wszystko wojownikami, w okresie swoich przewag. Ale Rzymianie byli militarystyczni do potęgi. Lecz upodobanie do piękna odziedziczyli po Grekach. Jak to powiedział pewien poeta: podbita Grecja pojmała zwycięzcę i... do prymitywnego Lacjum wniosła sztukę (*artes intulit agresti Latium*: Horacy, Listy 2.1.156).

Świadectwem tego są przepiękne posągi w Rzymie i po całej Italii. Nawet niekoniecznie ubrane... Nie trzeba dodawać, że „purytanie” znad Morza Martwego – doszedłszy do głosu – objali je i kaleczyli usuwając (bądź tylko zastaniając) ich „gorszące elementy”.

J.K.

ŻEBRAK – NIE ŻEBRAK, A POSŁUCHAĆ WARTO

Przeglądam po raz kolejny cykl boyowskich felietonów, zebranych pod wspólnym tytułem *Nasi okupanci*.

W tych tekstach mamy do czynienia z kilkoma dialogami, które Autor wiedzie z różnymi postaciami. Ciekawe to i celne dialogi mimo upływu lat.

Czy rozmowy te w istocie miały miejsce – tego nie wiem. Boy zaklina się, że nie fantazjuje i opisuje najszczerzą prawdę. Może i tak być. Nie mnie oceniać stopień prawdomówności genialnego Doktora.

Tym razem dajemy tekst inspirowany *Weselem* Stanisława Wyspiańskiego, choćby poprzez postać tytułową. Rozmowa pełna aluzji, historycznych odniesień, ostrych obserwacji. Toczona jakby pomiędzy odległymi biegunami życia społecznego. Z jednej strony Autor – postać publiczna, budząca jakże odmienne emocje, od uwielbienia po niemal zoologiczną nienawiść. Z drugiej strony WIELKI NIKT. Całkowity anonim, a jednak tak fascynujący, że Autor zapomniał zapytać swego rozmówcę o podstawowe personalia. Sama zawartość rozmowy z pozoru jest przypadkowa, marginalna, nieomal nieważna. Ale to tylko pozór. Mam wrażenie, że jest to (symbolicznie ujmując) krótki błysk latarki ogarniający ciemny pokój. Tak, błysk latarki krótki, ale nie świadczący o tym, że w tym pokoju nic nie ma.

Wybór i opracowanie – Piotr Augustynek

TADEUSZ ŻELEŃSKI-BOY

WERNYHORA

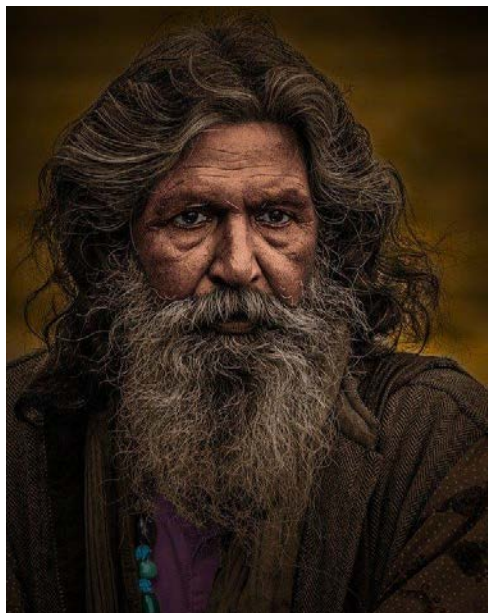
W chwili gdy rozlega się powszechny lament na brak czytelnictwa, na upadek zainteresowań intelektualnych, wizyta, którą miałem przed kilku dniami, jest tak uderzająca, że muszę ją opowiedzieć choć w paru słowach. Tym, którym wydałaby się zmysłaniem, powiem od razu, że nie umiem zmyślać, zawsze mówię wszystko, tak jak było. Gdybym umiał zmyślać, pisałbym powieści i brałbym nagrody literackie.

Otóż pewnego dnia, podczas gdy siedzę przy swojej maszynie, oznajmiamą mi dziwną wizytę: przyszedł stary dziad, że-

brak i chce się ze mną widzieć, jak mówi, „względem płodności”. Wychodzę do przedpokoju i widzę w istocie typowego dziada starej daty, z długą, siwiutką brodą, z kosturem; wyciąga do mnie rękę i mówi:

— Proszę pana, ja wyczytałem, co pan tutaj robi, wiem, że na pana pomstują, przyszedłem, żeby panu dodać ducha, aby panu pobłogosławić. Względem poradni. Święta robota. Żeby nie było na świecie tylu nędzarczy, męczenników.

Zaintrygowany, proszę dziadka do pokoju; po chwili wydaje mi się tak interesujący, że zatrzymuję go.



Żebrak, autor nieznany

— Może się pan napije herbaty?

— Owszem, proszę — odpowiada to-
nem najzupelniej światowym.

Stawiam przed nim herbatę, chleb, ma-
sło, kotlet z obiadu, sprzątając zarazem
książki, którymi stół jest zavalony.

— Proszę pana, to już znak, że bardzo
jestem głodny, kiedy najpierw chwytam za
jedzenie a nie za książkę. Bo u mnie zawsze
pierwsza jest książka.

— Ale kto pan właściwie jest?

— Dziad jestem i nie wstydę się tego.
Dziaduję w Białostockiem. Przyjechałem
tu na Dzień Zaduszny, żebrać na Bród-
nie. Czemu nie na Powązkach? Bo tam nie
wpuszczają do środka, trzeba stać pod bra-
mą, a to mi nie odpowiada.

Coraz bardziej zdziwiony, ciągnę dziad-
ka za język. Nie bardzo nawet tego potrze-
ba, bo i sam gada chętnie. Zatem, jak rzekł
wyżej, dziaduję od wsi do wsi. Nie dziadu-
je pod kościołem, bo tam są sami pijacy,
a on tego towarzystwa nie znosi; ale cho-
dzi po wsiach, żebrze, a w zamian za to po-
ucza chłopów o tym i owym. Za wybrane
pieniądze przede wszystkim kupuje książ-
ki i gazety (czytuje pięć gazet), co mu omal

nie zwicznęło kariery, bo kiedy się zgłosił
raz do sołtysa o pozwolenie na żebranie,
sołtys odmówił właśnie dlatego, że czytu-
je książki i gazety: niby że dziad nie powi-
nien czytać, bo co to za dziad? Ale stary nie
dał się: — Jak to! - odpalił sołtysowi: to że-
brak może pić wódkę i palić papierosy, a nie
wolno mu czytać?

Czym był przedtem? Był dwadzieścia
lat roznosicielem gazet (stąd widać ta ogła-
da literacka); obecnie od kilkunastu lat że-
brze. Życie kosztuje go dwadzieścia pięć
złotych miesięcznie, resztę *lektura*. Ka-
żdy (powiada) musi mieć ideę, bez idei życie
byłoby monotonne; jeden musi być *nem-
rod*, inny *chorograf*, inny *znów ego-
ista*, on ma lekturę.

Co czyta? Najchętniej naukowe. Chciał
sobie kupić w Warszawie „Bigelisięna” (tak
go wymawia) *Rozwój gospodarczy*, ale za
drogie. Powieści nie bardzo lubi.

— Czytałem — powiada — tych *Chło-
pów* Reymonta, ledwie dwa tomy mogłem
uczytać. Ja nie wiem, za co jemu dali nagro-
dę Nobla; to są banialuki, on nie zna chło-
pów ani ich życia, tylko ich ośmiesza. *Try-
logia* Sienkiewicza jest dobrze napisana.
Ale z tym czytaniem bieda; jak mają ludzie
prości czytać książki — mówi — kiedy na-
sze książki są tak zaśmiecone obcymi wy-
razami, że nikt tego nie zrozumie.

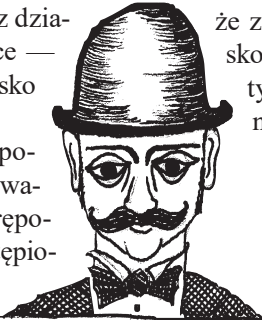
Jak oświeca chłopów? Najbardziej
względem higieny, jak dziecko żywić i żeby
kołysek nie używali. Uważa, że przy zawie-
raniu małżeństw ksiądz powinien wręczać
nowożeńcom karteczki, które by ich po-
uczały o higienie, oświacie i przestrzegały
przed nadmiernym płodzeniem dzieci.

Ma swoje pojęcia o żebractwie. Ka-
żdy żebrak powinien mieć numerek; kiedy
gość, dając jałmużnę, poczuje od żebraka
wódkę albo tytoń, powinien mu zabrać nu-
merek, bo żebrak nie powinien pić ani palić.

Pytam go, skąd wiedział mój adres. Po-
szedł do „Zielonego Sztandaru”, który czy-
tuje, i dowiedział się.

Oznajmia mi jeszcze, że ma 74 lata i jest zdrowszy jak rydz. (Zdaje się, że ten kostur, którym się podpiera, to raczej dekoracyjny atrybut dziadostwa). Pokazuje buty. — Kupiłem sobie w Warszawie buty za czterdzieści złotych; no, ale to nie z dziadówki, córkę mam w Ameryce — rzekł stary, łypiąc szelmowsko, niczym pan Zagłoba...

Wszystko to opowiada, popijając schludnie herbatę i gwarząc z zupełną swobodą, skrępowany jedynie trochę przytępio-



nym słuchem. Pokrzepił się, wziął książkę, którą mu dałem na drogę, pobłogosławił mnie w przedpokoju jeszcze raz i znikł za drzwiami, zostawiając mnie rozbawionego i zdumionego zarazem. Żałowałem potem, że zapomniałem się go spytać o nazwisko i o adres, ale przez cały czas wizyty miałem wrażenie czegoś niezupełnie realnego. Wernyhora! □

Ze zbioru:

Tadeusz Żeleński-Boy

„Nasi okupanci”,

Spółdzielnia Wydawnicza

„Wiedza”, Warszawa, 1946

SANEQ DOTS?

TYTUŁY

Wiadomo, że dawniej często kupowano rodowe tytuły, a przypominało to kupowanie majątków czy pałaców. Właśnie w taki sposób udało się nabyć Casanovie (awanturnikowi i słynnemu uwodzicielowi, autorowi *Pamiętników*) tytuł kawalera de Seingolt.

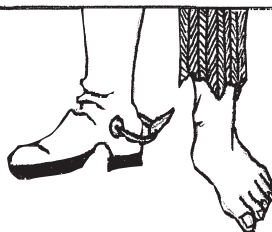
Pewnego razu przedstawiono Casanovę cesarzowi Józefowi II, a ten, zmierzyszy przybyłego wzrokiem od stóp do głowy, szepnął tak głośno, że wszyscy mogli usłyszeć:

- Pogardzam ludźmi, którzy szczycą się kupionymi tytułami!
- A ja tymi, którzy je sprzedają! – odciął się równie głośno Casanova.

OBAWY

Poeta Laberius Decimus, autor licznych mimów, wyróżniających się dowcipem, śmiałością i wdziękiem, przypadł do gustu Juliuszowi Cezarowi z powodu swoich utworów. Cezar kazał mu w nich występować, co z kolei Decimus uznał za uwłaczające dla siebie jako autora. Musiał być jednak posłuszny, lecz na jednym z przedstawień zawołał:

- Ten, którego wielu się boi, musi obawiać się wielu.
- Przyjęto te słowa jako aluzję do Cezara.



HIT HIT – HURA! WRACAMY DO SZKOŁY!

Wybierając prześmiewczy tytuł ni-niejszych rozważań wcale nie mam zamiaru wpisywać się w powszechne rozważania nad zupełnie „odjazdowym” dziełem prof. W. Roszkowskiego wykonanym na polecenie, eufemistycznie mówiąc, niebanalnego ministra p. Przemysława Czarnka. Trudno – mleko się rozlało, nie ma sensu taplać się w tej kałuży.

Przywołany powyżej przypadek może stanowić swoisty przykład problemu, z jakim zmagają się (nie od dzisiaj) nasza edukacja na poszczególnych szczeblach. Generalnie rzecz ujmując jest tak: nikt nie chce owego nieszczęsnego „podręcznika”, nikt nie chce przeładowanych podstaw programowych, nikt nie chce niedoinwestowania infrastruktury, nikt nie chce przeładowanych klas, nikt nie chce w końcu wykorzystywania materialnego nauczycieli. Nikt nie chce, a jednak chyba mamy do czynienia ze stanem lęklivego marazmu z jednej strony i ze stanem bezczelnej pogardy jednocześnie po drugiej stronie sporu oświatowego między władzą a społeczeństwem.

Przez wiele lat moja praca polegała na kierowaniu placówką oświatową. Stąd wiem, że teraz mamy do czynienia nie z „tąpnięciem” czy chwilowym kryzysem. To, czego obecnie doświadczamy, to stan permanentnej zapaści. Lawina już ruszyła. Nic tu nie dadzą strzeliste zakłęcia. Nic tu nie dadzą chamskie pohukiwania na brać nauczycielską, na opozycję

czy na co bardziej dociekliwych dziennikarzy. Za późno. I to za późno nie o siedem lat, lecz co najmniej o dwadzieścia siedem.

Przecież obecnie biadująca opozycja, gdy była u władzy, także nie miała odwagi, a może chęci i umiejętności, by na serio zająć się przyzwoitą, przewidywalną, ale przede wszystkim FUNDAMENTALNĄ reformą oświaty. To, co było podejmowane (najczęściej pod presją społeczną), było marnym surogatem, żeby nie powiedzieć parodią reformy systemu. Na czym to wszystko polegało? Najczęściej na gromko ogłaszanych podwyżkach pensji nauczycieli. Podwyżkach odbieranych jako splunięcie na dłoń żebraka. Przy takich podwyżkach np. dla górników już na drugi, trzeci dzień Aleje Ujazdowskie zarołyby się od górników z kilofami w dłoniach. W celu złożenia podziękowań i życzeń świątecznych, oczywiście.

W ślad za tymi rozważaniami musi pojawić się najsmutniejsza refleksja. Najsmutniejsza, bo dotyczy samobójczej taktyki środowisk decyzyjnych. Samobójczej także dla przyszłości życia społecznego w najszerszym zakresie. Chodzi o fatalną atmosferę wokół zawodu nauczyciela. Wiem, wiem – zaraz odezwie się jakiś złotousty i niedokształcony janczar polityczny z obozu władzy. Odezwie się, by obwieścić, że na szacunek i autorytet trzeba sobie zasłużyć. Święta prawda, jednakowoż nie da się tego zrobić, gdy i z lewa i z prawa sypią się połajanki, kuk-



sańce i kopniaki wobec belfrów. Przecież świetnie znamy „argumenty” półanal-fabetów, że „czego ci nauczyciele chcą”. Mają osiemnastogodzinny tydzień pracy, tyle tygodni wakacji itd., itp. Na takie stwierdzenia nawet wzruszyć ramionami nie warto. Zawsze byli, są i będą tacy, dla których kontakt z wiedzą był i jest bolesny z czysto psychologicznych powodów. Trudno. Dajmy im spokój. Ale, do licha, nie pozwólmy tzw. politykom wspierać tego typu pogardy. To jest groźne. Nie potrzeba chyba tłumaczyć dlaczego.

Co zatem zrobić, by nie dopuścić do kompletnej ruiny tego, co da się jeszcze ocalić?

Na pewno trzeba dogłębnie przeorać podstawy programowe, a także docenić (finansowo też) kadrę skłonną się z tym zadaniem zmierzyć.

Nie można takich działań podjąć z kadrą byle jak opłacaną. Zarobki nauczycieli muszą wzrosnąć i to skokowo, wręcz rewolucyjnie. Nie dlatego, żeby kogoś

skorumpować czy przekupić, lecz dlatego, że wtedy można porządnie wymagać! Wtedy także rodzi się nadzieja, że do szkół przyjdą najlepsi magistrzy, ambitni i twórczy młodzi ludzie, którzy nie będą z obłudą w oku pędzić ze szkoły do szkoły, aby „posklejać” etat i dostać parę nadgodzin, bo przecież kredyt na mieszkanie spłacić trzeba...

Kolejny motyw wart zastanowienia to obecność katechezy w szkołach. Obecnie strona kościelna i władze państwowe zdają sobie sprawę, że mamy do czynienia z fikcją. Fikcyjne w tej sytuacji nie są jedynie apanaże katechetów.

Jeżeli znajdzie się ktoś odważny (by nie rzec: desperat), kto podejmie się prawdziwej reformy systemu edukacji, to trzeba będzie pilnować naczelnej w tym działaniu zasady. Jaka to zasada? Prosta: **JAK NAJMNIJ POLITYKI! NAJLEPIJ WCALE!** □

Piotr Augustynek

KAZIMIERZ PASENKIEWICZ

POMOC AKADEMIKOM POWRACAJĄCYM Z WOJSKA

Ognisko I (1920–1924)

Sytuacja polityczna i militarna Europy w 1920 r., w porównaniu z 1914 rokiem, uległa gwałtownym i zasadniczym przeobrażeniom. Zmieniły się granice dawnych państw, powstały nowe; między innymi Polska.

Polacy od 1914 roku mobilizowani przez armie zaborców walczyli w „dwóch wrogich sobie szańcach”; czasami – jak np. nad Stochodem jesienią 1916 r. – bezpośrednio. Ginąc wierzyli, że umierają za Ojczyznę. W ostatnich latach wojna przybrała niespodziewany, korzystny dla Polski, obrót. Państwa zaborcze przegrywały wojnę. Należało więc, w miarę możliwości, wycofać się z walki i przystąpić do organizowania sił zbrojnych przyszłego państwa. Było to możliwe w Rosji po rewolucji lutowej, we Francji, w USA. Zaprzestały walki legiony w Austrii.

I wreszcie – Polska Wolna i Niepodległa. Ze wszystkich stron, ze wschodu, zachodu, południa i północy dążyli do Polski żołnierze ze wszystkich armii. Przybywały małe formacje, dywizje i pułki. Armie Hallera, dywizje z Murmańska i Odessy. Przybywali także rozproszeni żołnierze z Korpusu Dowbór Muśnickiego, z dywizji Syberyjskiej, z III dywizji. Wszyscy oni, żołnierze, oficerowie, generałowie, spotkali się w 1920 roku, aby teraz już walczyć razem, a nie przeciw sobie. Spotkali się także z ochotnikami i zmobilizowaną młodzieżą krajową.

Powstałe Wojsko Polskie nie miało sobie równych. W Rosji byłem oficerem batalionu szturmowego i mogłem porównać. W wojsku tym walczyły: 1 i 2 dywizja legionowe, dywizje poznańskie, 12 i 3 pułki ułanów, 201 i 203 pułki akademickie. Takie wojsko nie mogło przegrać żadnej wojny. Nie załamała go nawet katastrofalna wyprawa na Kijów.

Po Pokoju Ryskim sytuacja odrodzonego państwa była trudna. Toczące się na terenach Polski walki zniszczyły kraj. Miliony powracających do Ojczyzny wysiedlonych i repatriantów. Zniszczony przemysł, zrujnowane rolnictwo. Sześćioletnia przerwa w rozwoju nauki i kształcenia kadr inteligencji zawodowej oraz kadr technicznych. Do tego demobilizacja mas żołnierskich, powrót ich do kraju z armii rosyjskiej, austriackiej, niemieckiej, francuskiej, a przede wszystkim z Wojska Polskiego. Poważnym problemem byli żołnierze-studenci, wracający nie do pracy, ale do nauki. Wielu z nich nie posiadało w kraju ani domu, ani nawet rodziny.

Trzeba przyznać, że ani rząd, ani społeczeństwo nie interesowali się zbyt losem zdemobilizowanych żołnierzy, zwłaszcza studentów. Była to przedwojenna tradycja we wszystkich krajach. Studenci winni sami troszczyć się o siebie. Na tym też stanowisku stał rząd po wojnie.

Myszę, że wyniszczony kraj nie byłby zdolny do zaoferowania zdemobilizowanym studentom opieki. Zresztą nie przyję-



Profesorowie Wydziału Filozoficznego na tyłach Pałacu Kazimierzowskiego, 1927 r., zbiory Muzeum UW

liby jej. Potrzebowali nie opieki, ale pomocy – i ją otrzymali. Troskę o swój los i naukę wzięli we własne ręce. W tych właśnie warunkach powstała PAP – Pomoc Akademikom Powracającym z Wojska. W życiu Polski organizacja ta odegrała chlubną, ale zapomnianą rolę. O tym właśnie chciałbym przypomnieć.

PAP została wyłoniona przez Centralę Akademickich Bratnich Pomocy (CABP) właśnie w celu niesienia pomocy wracającym do nauki akademikom. Mieściła się przy ul. Kopernika, koło Pałacu Staszica. Jej prezesem był Szurig, posiadający autorytet w świecie akademickim. Sekcją domów akademickich kierował kol. Zmoczyński (chemik). W sekcji zaopatrzenia pracowali: Dąbrowski, Opalińska i inni.

Pierwszą potrzebą wracających do uczelni akademików było mieszkanie. Dlatego też PAP przede wszystkim zajęła się organizacją domów akademickich, zwanych wtedy ogniskami. Już przed wojną Bratniak posiadał w Warszawie parę domów studenckich, m.in. dom na Polnej i dom Trachtenberga. Uzyskano lokal by-

łego szpitala wojskowego, mieszczącego się w gmachu architektury na Koszykowej (dawne V gimnazjum rosyjskie). Później doszły Koszary Blocha i inne. Ogniskami zarządzali jednoosobowo gospodarze mianowani i wynagradzani przez PAP. Do ich obowiązków należało prowadzenie ewidencji mieszkańców, ich przyjmowanie i skreślanie na podstawie skierowań PAP. Prócz tego pobieranie należności za pobyt (była ona bardzo niska), prowadzenie książki przychodów i wydatków, oraz wysyłanie sprawozdań miesięcznych do Centrali. Z reguły dochody i rozchody równoważyły się.

W niektórych ogniskach powstawały rady mieszkańców jako ciała doradcze i kontrolujące. Gospodarzami bywali tylko studenci. Od dnia uruchomienia Ogniska na Lwowskiej do jego likwidacji, a więc od 1920 do 1925 roku, byłem jego gospodarzem. Organizacje studenckie nawiązały ze mną kontakt, gdy leżałem w filii szpitala mokotowskiego na jednej z sal głównego gmachu Politechniki Warszawskiej. Obok mnie leżał Wiktor Jabłoński, później-

szy dziekan Uniwersytetu Warszawskiego, oraz Mittelstedt, ziemianin z Poznańskiego.

Chorych na Politechnice często odwiedzali goście zagraniczni; wizyty działaczek organizacji studenckich były codzienne. Zaopatrywały one nas w czasopisma i książki, pytały o stosunki rodzinne i zamiary w dalszym życiu. Dzięki nim zaraz po wyjściu ze szpitala zostałem przez PAP skierowany na wypoczynek do Droбина. Była to piękna willa – dar mecenasa Popławskiego dla Bratniaka UW. Gospodynią tej willi była pani Beresniewiczowa. Mieszkała z nią w Drobinie kilkunastoletnia córka.

Spędziłem tam, jako jedyny pensjonariusz, parę spokojnych, pierwszych od wielu lat, październikowych tygodni. Pobyt sam na sam z młodą kobietą miał osobliwy charakter. Pasjami mojej młodości były książki i sport; tego ostatniego musiałem – w aspekcie wyczynowym – wyrzec się. W wieczornych rozmowach przy palącym się kominku mówiłem o swych planach życiowych: zupełne wyrzeczenie się erotyzmu i ograniczenie wyłącznie do działalności intelektualnej. Moja rozmówczyni twierdziła, że to nie jest rozsądne.

Pewnego dnia jedna ze studentek przyniosła mi wezwanie do PAP. Polecono mi objęcie części budynku wydziału architektury Politechniki Warszawskiej przy ul. Koszykowej, zajmowanego uprzednio przez zlikwidowany szpital wojskowy, oraz zorganizowanie tam domu akademickiego. Pomieszczenia te znajdowały się w skrzydle budynku od ul. Lwowskiej 12, na parterze i I piętrze. Było tam łącznie 16 sal. Do tego dochodził duży budynek służący jako kreślarnia. W pierwszych latach Ognisko mieściło 200 studentów. Po paru latach całe pierwsze piętro zostało zwrócone Architekturze.

Pomieszczenia te zostały dostosowane przez wojsko do potrzeb szpitala, a więc zainstalowano tam umywalki, wanny i prysznice. W przekazanych nam salach jako ostatni pacjent pozostał student Kacz-

kowski. Przy pomocy jego i dwu studentek, które pracowały w tym szpitalu jako pielęgniarki, przystąpiłem do organizowania Ogniska. W tych warunkach nie było trudno. Otrzymało ono nazwę Ognisko 1.

Wyposażenie sanitarne Ogniska było wysoce niewystarczające. Na każdym piętrze ogólne ubikacje; dwie wanny z mosiężnymi kotłami do grzania wody; 18 umywalk i dwa prysznice z chłodną wodą. Prysznice latem i zimą cieszyły się dużym powodzeniem. Dwie wanny nie wystarczały dla wszystkich chętnych, a grzanie wody sprawiało wiele kłopotów sprzątaczkom i administracji. Życie frontowe przyzwyczaiło do chłodnej wody, ale nie do właściwego korzystania z sanitariatu. Potrzebne były hasła: „Nie bądź orłem ubikacji”, „Więcej wody, mniej papieru” i podobne. Natomiast w salach mieszkańcy utrzymywali porządek i troszczyli się o ich wygląd.

Personel Ogniska był nieliczny: 3-4 sprzątaczkę, kucharkę i kierującą ich pracą gospodyni. Po jej rychłym odejściu nie angażowaliśmy nowej. W prowadzeniu rachunków i korespondencji pomagał mi honorowo jeden z mieszkańców, kol. Markoni, a po nim Salcewicz. Dużą pomoc w organizowaniu i prowadzeniu Ogniska, a także jego mieszkańcom, okazały: wojsko, Politechnika i YMCA. O tej pomocy pamiętali – jak sądzę – wszyscy ci, którzy jej doświadczyli. Wdzięczność jest równie cenna jak ofiarność.

Wojsko, jak zostało powiedziane, przekazało Ognisku całkowite urządzenie sal i kuchni oraz barak zbudowany na podwórku (bardzo się nam on przydał). Poza tym pościel i bieliznę pościelową, mundury i płaszcze wojskowe oraz bieliznę, aktualnie używaną przez studentów-żołnierzy. Politechnice Ognisko zawdzięczało odstąpienie sal, a także oświetlenie ich i ogrzewanie. Politechnika także opłacała stróża i techników dokonujących napraw.

YMCA zaopatrywała stołówki w konserwy, cukier, kakao, tłuszcz; studentów

– w odzież i obuwiu nie do zdarcia (pochodziły z demobilu). Od studenckiej organizacji skandynawskiej otrzymaliśmy pożyczkę (niespłaconą) na założenie akademickiej spółdzielni pracy. Dzięki tej pomocy koszty utrzymania w Ognisku były niskie, a zdobywanie środków na ich pokrycie nie zabierało mieszkańcom wiele czasu. Mogli więc kontynuować normalne studia.

Spoleczność studencka

W listopadzie 1920 r. Ognisko było już urządzone i gotowe do przyjęcia pierwszych gości. Niedługo wypadło na nich czekać. Młodzi ludzie przybywający do Ogniska mieli za sobą lata rewolucji i wojny. Jako repatrianci wracali w nowy dla nich świat i nowe życie. Wielu pochodziło z dobrze sytuowanych rodzin ziemiańskich lub przemysłowych. Spotkało ich tu twarde życie. Stracili majątki – zyskali Ojczyznę. Nikt nie czuł się upośledzonym przez los. Z ufnością i zapałem rozpoczęli to nowe życie. Zresztą ci z zamożnych rodzin zdążyli powrócić do środowiska, które utracili na kresach.

Najwcześniej pojawiła się w Ognisku ta właśnie młodzież kresowa, a więc z Ukrainy, Litwy, Piotrogradu, Odessy; najwięcej z Kijowa. Jeden z nich, student architektury Czyżewski, na zapytanie skąd przybywa, odpowiedział: „jestem chiniec”; tak też go koledzy nazywali. Później przybywali studenci krajowi, posiadający tu rodziny. Musieli, wracając jako zwycięzcy, pokazać się w mundurach.

Wielką radość sprawił mi zgłaszający się jako pierwszy ze skierowaniem PAP – Tadeusz Kunicki, piłkarz z trzeciej drużyny piłki nożnej. Jego brat nie przeżył wojny. Przyjrzał mi się i zapytał: „Druh Mańka?” (tak mnie nazywano w klubie). Ostatni raz widziałem go w Kijowie wiosną 1916 r. Po nim zgłaszali się koledzy ze szkoły, z klubu sportowego, z wojska, harcerstwa, znajomi i przyjaciele; było ich wielu. Natomiast nie pojawił się w Ognisku żaden reemigrant

z Zachodu. Nie było ich, czy też nie potrzebowali domów akademickich?

Cała ta młodzież rozmieszczała się po salach, nawiązywała ze sobą znajomości i przyjaźnie. Mówiąc różnymi akcentami tworzyli powoli spójną, jednolitą społeczność akademicką, różniącą się znacznie od poprzednich generacji. Tę właśnie, która budowała Polskę w okresie międzywojennym i walczyła w latach drugiej wojny światowej w jej obronie.

Nauka i praca

Większość mieszkańców Ogniska, zwłaszcza ta z kresów, nie otrzymywała pomocy od rodzin. Rodziny były jeszcze poza krajem, albo dopiero na dorobku. Musieli więc sami troszczyć się o zdobycie środków na opłacenie obiadów w stołówkach i mieszkania w Ognisku.

Możliwości zarobkowe studentów zależały od kierunku studiów. Studenci Politechniki, SGGW, Przyrody, Medycyny i Biologii mieli ograniczone możliwości zarobkowania. Obowiązywały ich laboratoria, zajęcia praktyczne lub praca w określonych miejscach i godzinach. Nie mogli tych zajęć opuszczać. Co innego słuchacze prawa lub nauk humanistycznych i filozofii. Ci nie mieli ani wykładów kursowych, ani egzaminów obowiązkowych. Byli zobowiązani do wysłuchania określonej liczby godzin wykładowych na wydziale i do uzyskania w indeksie potwierdzenia wykładowcy. Mogli więc w dużym stopniu dowolnie rozporządzać czasem.

Dobre warunki pracy tworzyło dla studentów historyków Wojskowe Biuro Historyczne. Pracował tam m.in. Stanisław Płowski, przysły dyrektor Instytutu Pamięci Narodowej. Kilku studentów pracowało także w Głównym Urzędzie Statystycznym. Dyrektor tego urzędu, prof. Sujkowski, był dla studentów bardzo życzliwy.

Dla studentów Politechniki, SGGW oraz wydziałów Mat.-Fiz. i Medycyny praca biurowa była wykluczona. Studenci ar-



Dom akademicki przy pl. Narutowicza w Warszawie, stan sprzed wojny

chitektury wykonywali różne prace zleczone jak plakaty, wykresy, ilustracje. Tu wiodł prym Dauksza i jego koledzy z sali. Paru starszych kolegów było zatrudnionych w charakterze asystentów; należał do nich Jagmin, przyszły specjalista od Inu w SGGW, oraz Salcewicz na Politechnice.

Wielu chemików pracowało w założonej w tym celu w Ognisku Akademickiej Spółdzielni Wytwórczej (ASW). Założenie jej było możliwe dzięki posiadanemu barakowi otrzymanemu od wojska, oraz pożyczce udzielonej przez Skandynawską Organizację Studencką; przede wszystkim zaś dzięki miejscowej sile fachowej. ASW produkowała smary do skór i pastę do obuwia na zamówienia wojskowe; oraz na rynek pasty do podłóg i do obuwia, mydła toaletowe glicerynowe. Praca w spółdzielni pozwalała studentom Politechniki na systematyczne studia, gdyż była wykonywana poza godzinami zajęć na uczelni.

W ostatnich latach inflacji wielu studentów, m.in. także ja, pracowało jako nocni kontrolerzy w Państwowych Zakładach Papierów Wartościowych w Al. Jerozolimskich. Była to wyjątkowo nieprzyjemna praca. Polegała na nocnym czuwaniu; sie-

działo się obok uzbrojonych strażników na niewygodnych stołkach. Po dniu nauki nocne czytanie podręczników wymagało wielkiego wysiłku. Za kratami na stołach leżały stopy banknotów tysięcznych, a potem milionowych wartości. Zwłaszcza ponuro wyglądały sale o świcie, gdy pierwszy brzask nadawał maszynom upiorny wygląd.

O ile mi wiadomo, żaden z mieszkańców Ogniska nie zarabiał pracą fizyczną. Panowały wtedy zwyczaje i postawy inne niż obecnie. Nauka w warunkach Ogniska miała bezwzględny charakter. Wszystko do niej skłaniało. Trzeba było punktualnie chodzić na wykłady co nie było trudne, gdyż wcześniej rano pokoje były sprzątane i pozostawanie w nich nie było przyjemne.

Żadnych innych sposobów spędzania czasu nie było. Brak pieniędzy na kawiarnie; zresztą bez znajomych tam – nuda. Wałęsanie się po ulicach nie odpowiadało ówczesnej młodzieży. Dookoła ludzie spieszący się, zaaferowani. Pozostawały uczelnie, wykłady, znajomości uczelniane, rozmowy z kolegami.

Większość studentów zaczynała przerwane studia od pierwszego roku – zwłaszcza na uczelniach technicznych. Zapisanie

się na studia było łatwe. Władze uczelni okazywały wielkie zaufanie do młodzieży. Mało który z maturzystów ze szkół rosyjskich i niemieckich miał świadectwo maturalne; wystarczyło więc zaświadczenie jakiejś instytucji. Na przykład mój przyjaciel Niżyński został przyjęty na podstawie stwierdzenia Chorągwi harcerskiej. Kolejki do sekretariatu i do kwestury, gdzie opłacało się chesne, były bardzo długie, a liczba urzędników bardzo mała, ale praca szła szybko.

Przeglądając podanie urzędnik źle odczytał moje nazwisko i zostałem zapisany na listę przyjętych jako „Rozenkiewicz”. Przez niedbalstwo nie zaprotestowałem. Przy wyrabianiu obywatelstwa nazwisko znowu uległo zmianie i zostałem „Pozenkiewiczem”, a nie – jak należało – „Pasynkiewicz”. Nie wiem, czy zdążę wrócić do właściwego nazwiska, zwłaszcza że mam już całą rodzinę „Pasenkiewiczów”. Teraz zdaję sobie sprawę, że troska o sprawy formalne i urzędowe świadczy o kulturze człowieka i o jego społecznieniu.

Studiowałem na Uniwersytecie Warszawskim filozofię i matematykę. Nie miałem, podobnie jak moi koledzy z wydziału, obowiązkowych ćwiczeń i laboratoriów, tylko seminaria. Miejscem naszych studiów były biblioteki seminaryjne: Biblioteka im. Kierbedzia na Koszykowej i Biblioteka Uniwersytecka. W tej ostatniej przez parę lat widywałem obecnego profesora Suchodolskiego, otoczonego zawsze przez młode koleżanki, który potem ocenił moją pracę seminaryjną na Studiach Pedagogicznych, uzupełniających moje uniwersyteckie magisteria i doktoraty.

Biblioteki były przepelnione; można by rzec, że naukowe zaangażowanie młodzieży było dosłownie widoczne. Wszystkie uczelnie wyższe w Polsce uległy nagłemu wzrostowi. Nauka polska „wybuchła”. Zjechali do kraju naukowcy z Rosji, Francji, Niemiec. Każdy z własnym dorobkiem. Wtedy na zjeździe fizyków ujrzałem swe-

go nauczyciela i korepetytora z czasów kijowskich – Adama Kossa. Siedział w prezydium.

Myślę, że w okresie międzywojennym możliwość rozwoju nauki polskiej zostały zaniedbane. W pełni rozwinęły się tylko polskie szkoły matematyki i logiki.

Wracając do spraw Ogniska: z całą pewnością mogę powiedzieć, że młodzi jego mieszkańcy nie zmarnowali lat swojej młodości. Zaangażowani przez los do walki zaangażowali się sami do nauki i pracy. O ile wiem tylko jeden, Waleńkiewicz, nie ukończył studiów. Niektórych z nich spotykałem w dalszym życiu. W warunkach spóźnionych trudnych studiów tylko nieliczni z nich osiągnęli sukcesy naukowe lub twórcze. Należeli do nich: Płoski, Salcewicz, Jagmin, Czekatowski, Dauksza, Biełnik, Slifirski i paru innych.

Dnie i noce w Ognisku

Mieszkańcy Ogniska dni powszednie spędzali przeważnie poza nim. Przed i po południu wykłady, pracownie, laboratoria, kreślarnie. W przerwie obiad, najczęściej w stołówce studenckiej na rogu Hożej.

W tych latach studiowano intensywnie, nie opuszczano zajęć. Dni powszednie wypełniała prawdziwa praca, święta i niedziele były prawdziwym wypoczynkiem. Sporo studentów chodziło na poranki symfoniczne do Filharmonii. Pamiętam, że wykłady Leśniewskiego z logiki zaczynały się od omówienia niedzielного koncertu. Nieliczni uprawiali sporty. Z moich znajomych jeden ze Świerszczyńskich i jeden z Bułanowych grali w piłkę nożną w Polsce. Mieszkaniec Ogniska Karpj uprawiał z powodzeniem wioślarstwo. Nieliczni także chodzili do teatru; więcej do teatrzyków i kin. Niewątpliwie studenci innych uczelni niż Politechnika czy SGGW bez porównania częściej odwiedzali ówczesne sceny i estrady.

Mieszkańcy rozmieszczali się po salach według kierunku studiów i pochodzenia.

Często więc rozmowy w salach miały charakter kolokwium przedegzaminacyjnego. Może właśnie intensywność i tempo studiów nie sprzyjały rozwijaniu się ściśle naukowych zainteresowań.

W Ognisku nie interesowano się polityką; odwrotnie niż w rozpolitykowanym wówczas społeczeństwie. Jedynie Pogumirski, średni student i naiwny człowiek zaangażował się w działalność polityczną; był też jedynym w Ognisku korporantem. Mieszkał w sześciuosobowej sali; koledzy traktowali go pobłażliwie. W uczelniach istniały oczywiście podziały na prawicę i lewicę; w tamtych latach nie obejmowały one ognisk. Za parę lat sytuacja ulegnie zmianie.

Młodzi ludzie z kresów prawie fizycznie czuli posiadanie własnej Ojczyzny. W pierwszych latach niepodległości przeżywano stan jakiejś euforii. Walka o władzę wydawała się niedorzecznością. Odczuwano niejasną obawę utraty niepodległości. Zdawało się, że rządy narodowe bardziej bezkompromisowo walczyłyby o nią. Stopniowo przekonywano się, że władza to nie tylko najwyższa troska o lud, ale także troska o osobiste wpływy, sławę, kobiety, a czasem pieniądze.

W ogniskach młodzież prowadziła normalne, zdrowe życie. Przez prawie 5 lat, gdy byłem gospodarzem Ogniska, nie widziałem w nim ani jednej butelki wódki (nie przypominam sobie, abym kiedy widział wino). O narkotykach, chociaż było to po rewolucji, kiedy za narkotyki wiele się dawało i niewiele można było otrzymać, w Ognisku nawet nie słyszano. Ani w brydża ani w gry hazardowe w Ognisku nie grano. Kobiety – poza dwiema koleżankami (nazwiska niestety zapomniałem), które załatwiały dla Ogniska przydziały i udogodnienia – nie miały wstępu do Ogniska.

Można by rzec, że życie w Ognisku było przedłużeniem życia w podchorążówce. Natomiast po okresie ograniczeń wojennych zainteresowanie dziewczynami było



Studenci na ulicach Warszawy

bardzo duże; odwrotnie – także. W oknach po drugiej stronie Lwowskiej dziewczęta podglądały często nieznane i tajemnicze życie w Ognisku. Nic ciekawego tam się wprawdzie nie działo, ale znajomości można było zawiązać. Były też tam okna, gdzie w pokojach panie – chyba z całą świadomością – odbywały w przyćmionym świetle striptease. Było to powolne rozbieranie się i wkładanie nocnej koszuli. Czasami prezentacja była bardziej intymna. W dzień częstym sygnałem wywoławczym było puszczenie zajczków słonecznych.

W otwartym oknie naprzeciw mego pokoju na piętrze ukazywała się co jakiś czas młodzianka dziewczyna z odsłoniętym biustem; przyglądała się długo i uważnie pustej ulicy. Będąc inwalidą nie skorzystałem z propozycji. Pewnego dnia skorzystał z niej mój przypadkowy gość; twierdził później, że się zawiódł i znajomość ograniczyła się do wspólnych spacerów w Łazienkach. Przypuszczam wszakże, iż Warszawianki, o których tak często śpiewano w Ognisku, znajdowały sposoby, aby wynagrodzić młodym ludziom i sobie wstrzemięźliwe lata wojny.

Młodzież akademicka organizowała wtedy bardzo popularne w społeczeństwie bale i spotkania towarzyskie. W ogni-

sku powstała sekcja zabaw, organizująca co miesiąc wieczorki taneczne. Sale Ogniska zmieniały się w dworki, altany w ogrodach, świątynki nieznanymi kultów. Znałem te czary z podchorążówki w Kijowie, ale były to czary inaczej zabarwione: nadzieją i śmiercią. Goście spoza Ogniska musieli okazać zaproszenie sekcji i uiścić dość znaczną opłatę. Za panie przeważnie płacili zapraszający studenci. Wpływały opłacano koszty dekoracji. Muzyka była własna; mieliśmy fortepian, a kilku kolegów różne instrumenty. Płatny bufet prowadziła nasza kucharka, żona Kozaka dońskiego (był on krawcem męskim i pracował w jednym z pokojów Ogniska, szył przeważnie dla mieszkańców), p. Piszczyńska. W bufecie były tylko napoje chłodzące, ciastka i kanapki. Tańce trwały do 3-4 rano.

Najbardziej przykra robota po zakończeniu zabawy przypadała właśnie mnie. Tworzyły się parczki szukające ustronnych miejsc. Te parczki wypraszałem; byłem bezwzględny. Tylko dzięki memu autorytetowi i inwalidztwu nie bywałem wtedy pobity. Jednak większość popierała mnie. Ognisko musiało być męskim klasztorem – studiów i nauki.

W Ognisku, jak w każdym zbiorowisku ludzkim, powstawały konflikty, urazy, animozje. Czasami protestowano przeciw głośnemu zachowaniu na korytarzach; protestowano przeciw nocnym telefonom; zdarzały się zatargi o kobiety na zabawach w Ognisku lub balach. Spory rozstrzygały sądy honorowe, w których przewodniczącym często bywałem ja. Trzeba było opierać się przy tym na kodeksie Bożewicza. Raz spór miał głębsze podłoże: zarzucono Lubarskiemu, Rosjaninowi z pochodzenia (uczył się w V rosyjskim gimnazjum właśnie tam, gdzie teraz mieszkał), oportunistą i beznarodowość. Lubarski walczył w Wojsku Polskim i był dobrym Polakiem. Wtedy o mało nie doszło do pojedynku. Jednak obrażający zdecydował się na publiczne zaproszenie Lubarskiego.

Konflikty i spory nie zdarzały się w Ognisku często. Na ogół panowały stosunki wzajemnej życzliwości i zrozumienia. Konflikty na sali mieszkańcy załatwiali przeważnie sami; z wnioskami do administracji występowali solidarnie.

W nocy wszelkie życie ustawało. Wczesnie się kładziono i wczesnie wstawano. Szanowano wypoczynek i bardzo rzadkie relaksy w ciągu dnia. Spory o zapalenie i gaszenia światła zdarzały się w ciągu pierwszych miesięcy po uruchomieniu nowej, 50 osobowej sypialni w kreslarni, ale wkrótce nastąpiło porozumienie. Nie było w Ognisku przejawów chuligaństwa – za wyjątkiem dwóch wypadków. W dniu śmigusu (w 1922 r.) Biebnik oblał wodą z okna parteru jakąś dziewczynę i spoliczkował podchorążego, z którym szła. Nie mogłem sobie darować, że nie zażądałem od CABP jego usunięcia i że nie zareagowałem wtedy energicznie.

Drugi incydent miał związek z Waleńcikiem, który zarabkował jako szofer i zaniedbywał naukę. Wydarzyła mu się jakaś bójka, w wyniku czego został relegowany z Uniwersytetu i skreślony z listy mieszkańców.

Nie pamiętam wypadku przewlekłej lub poważnej choroby w Ognisku. Jedyne tragiczne wydarzenie na blisko trzystu młodych ludzi, którzy przeszli przez Ognisko, wydarzył się w 1923 roku. Jeden z chemików – Zapolski – zaplątał się w jakiś romans i popełnił samobójstwo w jednym z pomieszczeń spółdzielni. Kilkunastu ukończyło swe studia w czasie mojego administrowania; ale żaden się nie ożenił.

Studenci i miasto

W latach powojennych studenci warszawscy mieli swój udział w życiu milionowego miasta, jakim stawała się wtedy Warszawa. Tworzyli oni hałaśliwą, najżywiej reagującą widownię teatrów i rewii. W pożytych smokach, za pożyczone pieniądze, brali udział w balach i imprezach towarzyskich, stanowiąc główną atrakcję

dla pań. Z szeregów studenckich wyłonili się Skamandryci, dziennikarze, młodzi aktorzy. To studenci byli instruktorami i hufcowymi w harcerstwie. Niejedna studentka była drugą żoną ówczesnych dygnitarzy cywilnych i wojskowych.

Różnokolorowe czapeczki bratniaków i korporacji ożywiały Warszawę. Pełno ich było w godzinach rannych i przerw obiadowych na ulicach i w tramwajach, a w dniach świątecznych w parkach, muzeach, kościołach i wszędzie tam, gdzie nie trzeba było płacić. Ówczesni studenci to młodzież odmłodzonej stolicy młodego państwa.

Największym dokonaniem w tym czasie w Polsce przedsięwzięciem społecznym było zbudowanie kompleksu domów akademickich przy placu Narutowicza. Nie dokonało tego ani państwo, ani kapitaliści, lecz akademicy: własną pomysłowością, zachodem, inicjatywą i pracą. Inwestorem był komitet zorganizowany z inicjatywy CABP; wykonawcami różne firmy. Część pracy, zwłaszcza przy wykopach, wykonali sami akademicy.

Zgodnie z planem kompleks składał się z gmachu głównego i dwóch skrzydeł; między nimi – place tenisowe. Jak na tamte czasy dom był luksusowy. Koszty budowy wyniosły około 6 milionów drogich złotych (1 dolar = 5 zł). Pieniądze zbierano w całym kraju i poza nim. Sposoby zbierania były bardzo pomysłowe. Między innymi skłoniono wiele przedsiębiorstw miejskich, hoteli, sklepów, restauracji, wytwórni itp. do ofiarowania co miesiąc określonej kwoty na rzecz funduszu budowy.

Niektórzy się ociągali, a właściciel Ziemiańskiej odmówił. Studenci przybyli do kawiarni z deskami do kreślenia, zamówili pół czarnej i oddali się pracy. Właściciel nie ustąpił, studenci też nie. Jedni zastępowali na posterunkach innych. Po kilku dniach właściciel miał tego dość. Jego przykład był dla innych bardzo pouczający.

Organizowano pochody propagandowe z transparentami. W jednym z tych pochodów studenci szli gęsiego, przerywa-

jąc na pół godziny ruch na jezdni. Władze były pobłażliwe. Zbierano w kraju i za granicą. Wspaniałe były bale organizowane na ten cel, zwłaszcza bale architektów. Młodość – zarówno człowieka, jak i narodu – jest twórcza; także idee i myśli.

Koniec tej wielkiej imprezy był jednak dla studentów żalorny. Młodzież po 1926 roku straciła sympatię dla Piłsudskiego i była w większości opozycyjna. Utworzono więc organizację działającą na terenie studenckim pod nazwą Auxilium Academicum. Prezesem był jeden z profesorów (zdaje się Bursche, albo Loth). Bank Gospodarstwa Kolejowego zażądał spłacenia pożyczki (około 600 tysięcy złotych), nie godząc się na żadne prolongaty. Gotówki tej w pogotowiu nie było. Prawie gotowy zespół domów wystawiono na licytację. Nabyło je za cenę długu Auxilium Academicum. Miliony, włożone przez organizacje studenckie, przepadły.

Jednym z większych widowisk organizowanych przez młodzież studencką był transport armaty ofiarowanej studentom przez Wojsko Polskie za ich udział w wojnach o wyzwolenie kraju. Ciągnięto tę armatę z arsenału do ogrodu uniwersyteckiego za głównym gmachem. Tysiące studentów szły w pochodzie, a na armacie jechał popularny student, mieszkaniec Ogniska – Korzeniowski.

W roku 1929 przybyłem do Warszawy po kilkuletniej przerwie w studiach. Zamieszkałem w Domu Akademickim im. Narutowicza na szóstym piętrze. Wyjrzałem przez okno w korytarzu. Zobaczyłem, jak niegdyś, młode buzie dziewczęce po przeciwnej stronie – ale nie ulicy, tylko podwórka, w innym skrzydle akademickiego domu. Należały one do stałych, zadowolonych tu gości domu. Jak się wkrótce przekonałem, w Domu Akademickim pojawiły się nie tylko te dziewczyny, ale także sporo szpiclów. Dyrektorem domu był wymieniony już „działacz społeczny” Dąbrowski. Inne to już były czasy, inni ludzie, inne dążenia. □

BOGUMIŁ WOŹNIAKOWSKI

Tekst o rodzinie Gliwiców to kontynuacja rozpoczętego w poprzednim numerze FMW od szkicu o Stanisławie Stempowskim cyklu prezentującego sylwetki polskich wolnomularzy XX i XXI w.

GLIWICOWIE: TRZY POKOLENIA WOLNOMULARSKIE

Gliwicowie, począwszy od Hipolita (1873-1943), jego syna Tadeusza (1907-1994) oraz Artura (1939-2018), syna Tadeusza, byli aktywnymi wolnomularzami. Każdy z nich doszedł do najwyższych stopni wtajemniczenia wolnomularskiego, a ponadto Hipolit (w okresie międzywojennym) oraz Tadeusz (w czasach PRL i po 1989) odegrali ważną i istotną rolę w odrodzeniu sztuki królewskiej w Polsce.

Spośród wszystkich Gliwiców najbardziej znanym, z racji swojej działalności na polu gospodarczym i politycznym w okresie II Rzeczypospolitej, jest **Hipolit**, urodzony 24 marca 1873 w Warszawie (według niektórych źródeł – 23, w akcie zgonu podano datę 21 maja). Pochodził z zamożnej rodziny przemysłowców. Jego ojciec Bernard Gliwitz zaliczany był do grupy sześciu największych potentatów branży metalowej na terenie Królestwa Polskiego. Po ukończeniu gimnazjum w Warszawie rozpoczął studia na Wydziale Fizyczno-Matematycznym Uniwersytetu Noworosyjskiego w Odessie. Jako kandydat nauk matematycznych (1901) kontynuował je w petersburskim **Instytucie Górniczym**, uzyskując w 1906 r. tytuł zawodowy inżyniera górniczego. W latach 1892–1900 kierował w Odessie działalnością firm przemysłowych ojca. W Petersburgu wstąpił w 1904 r. do Polskiej Partii Socjalistycznej, gdzie związał się z Frak-

cją Rewolucyjną. Był jednym z aktywniejszych działaczy Petersburskiego Komitetu Okręgowego PPS. Swoje korespondencje zamieszczał w organach partyjnych „Przedświt” i „Naprzód”. Brał także udział w przewożeniu broni dla Organizacji Bojowej PPS.

W tym czasie poznał córkę i wnuczkę zesłańców syberyjskich po powstaniu styczniowym, Wiktorię Haykowiczównę (1878-1948), w której się zakochał. Młodzi zaplanowali ślub, ale nastąpił rok 1905 i czas wrzenia rewolucyjnego. Hipolit został aresztowany przez ochronę i osadzony w petersburskim więzieniu Kriesty; groziło mu zesłanie na Syberię. Wiktoria mimo wszystko postanowiła wziąć w więzieniu ślub, bo jako żona mogłaby towarzyszyć skazanemu na zesłaniu. Władze więzienne nie robiły problemu, problem zrobił za to ksiądz katolicki, który stanowczo temu odmówił, tłumacząc, że skoro pan młody jest aresztowany za działalność rewolucyjną, to o żadnym ślubie nie może być mowy. Wówczas Wiktoria nie zastanawiając się długo, mimo że była wychowana w wierze katolickiej, zwróciła się do pastora kalwińskiego. Ten urzeczony ofiarnością i poświęceniem panny młodej zgodził się bez żadnych wątpliwości dać im ślub. Oczywiście, zarówno Wiktoria jak i Hipolit musieli zmienić wyznanie. Od tego momentu rodzina stała się protestanc-



Tadeusz Gliwic

ka, a wkrótce, w 1907 roku, przyszedł na świat ich syn Tadeusz, którego ochrzcił ten sam pastor.

Na szczęście dowody zebrane przez ochronę były tak marne, że nie wystarczyły na skazanie nawet stronniczemu carskiemu sądowi i Hipolit wyszedł na wolność. Jednak jako podejrzany i bezustannie inwigilowany był zmuszony wycofać się z działalności niepodległościowej. Podjął pracę naukowo-dydaktyczną w petersburskim Instytucie Górniczym.

W 1911 r. rodzina przeniosła się do Warszawy, gdzie Hipolit objął funkcję dyrektora warszawskiego oddziału rosyjskich hut żelaznych „Prodamet”, syndykatu założonego w roku 1902.

W okresie I wojny znalazł się ponownie w Petersburgu, gdzie był m.in. przedstawicielem Rosyjskiego Towarzystwa Akcyjnego Granitu, Marmuru i Robót Budowlanych, oraz Towarzystwa Akcyjnego Sosnowieckich Fabryk Rur i Żelaza. Jed-

nocześnie zaangażował się w działalność polskich organizacji w Petersburgu (od sierpnia 1914 noszącym miano Piotrogród) m.in. w powstałym w 1915 Polskim Zrzeszeniu Niepodległościowym oraz w Towarzystwie Prawników i Ekonomistów. W toczącej się w styczniu 1916 r. dyskusji na temat Królestwa Polskiego sformułował pogląd o niezależności gospodarczej ziem polskich. Po rewolucji lutowej 1917 został członkiem **Polskiego Komitetu Demokratycznego**. Wraz z powstaniem w marcu 1917 r. Komisji Likwidacyjnej ds. Królestwa Polskiego został pracownikiem ekspozytury, później zaś kierownikiem jej Wydziału Ekonomiczno-Finansowego. Funkcję tę sprawował przy Przedstawicielstwie Rady Regencyjnej Królestwa Polskiego w Moskwie. W listopadzie 1918 r. zdecydował się na powrót do odrodzonej Polski.

W latach 1919-1922 był radcą handlowym w Ministerstwie Skarbu. W okresie 1922-1925 chargé d'affaires poselstwa w Waszyngtonie, a po powrocie w 1925 został powołany na stanowisko dyrektora departamentu handlowego w Ministerstwie Przemysłu i Handlu.

Po powrocie z placówki w Stanach Gliwicowie zamieszkali w wili przy ul. Lekarskiej. Domy przy tej ulicy budowała spółdzielnia założona w 1925 przez reprezentantów symbolicznej kielni. Mieszkało tu kilku wolnomularzy, jak np. Mieczysław Michałowicz i jego syn Jerzy, lekarze, Marian Ponikiewski legionista, inżynier elektryk, działacz, społeczny; Lucjan Laskowski adwokat; Ignacy Weinfeld prawnik; Arnold Makowski geolog, czy Marian Falski, działacz oświatowy i autor znanego elementarza. Sami mieszkańcy żartowali między sobą, że ulica powinna nazywać się raczej Masońska, a nie Lekarska, gdyż jedynymi przedstawicielami tego zawodu lekarskiego byli Michałowiczowie.

Po przewrocie majowym Hipolit Gliwic był przez kilkanaście dni ministrem przemysłu i handlu w pierwszym gabinecie Kazimierza Bartla (15.05-8.06.1926). Do następnego już nie wszedł wskutek różnicy zdań z Piłsudskim. Sprzeciwił się bowiem podwyższeniu gaży wyłącznie wojskowym uważając, że może to być potraktowane jako „zapłata za maj”.

W latach 1927-1928 zorganizował w Katowicach Wspólnotę Interesów Górniczo-Hutniczych, ponadto działał w dziedzinie bankowości m.in. jako członek (1926-1934) a następnie wiceprezes (1928-1932) Rady Nadzorczej Banku Handlowego.

W wyborach do Senatu II kadencji (1928-1930) uzyskał mandat z list BBWR, w województwie białostockim. W Senacie pełnił funkcję wicemarszałka oraz przewodniczącego Komisji Skarbowo-Budżetowej. Był przedstawicielem Polski w Ekonomicznym Komitecie Doradczym Ligi Narodów i na wielu międzynarodowych konferencjach ekonomicznych.

Hipolit Gliwic na niwie społeczno-politycznej był postacią znaczącą, jednak w miarę jak władze Polski stawały się coraz bardziej autorytarne, a klimat polityczny ulegał zaostrzeniu, wycofał się ze wszystkich stanowisk urzędowych i politycznych i powrócił do działalności naukowo-dydaktycznej.

Od 1928 był profesorem Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie, gdzie wykładał politykę ekonomiczną i prowadził seminarium poświęcone zagadnieniom gospodarki światowej. W 1935 został dziekanem wydziału polityczno-społecznego Wolnej Wszechnicy. Tam też w 1936 utworzył studium migracyjno-kolonialne, które prowadził do wybuchu wojny. Wykładał również na uniwersytecie lwowskim i w Szkole Nauk Politycznych UJ. Jest autorem wielu prac z dziedziny ekonomii, z których najobszerniejsza i najważniejsza to trzytomowe *Podstawy ekonomiki światowej* (1926-1938).

W okresie okupacji, pod pseudonimem „Tomasz”, w Komendzie Głównej AK objął kierownictwo grupy specjalistów gospodarczych o kryptonimie „Kraj”.

Hipolit Gliwic nie doczekał niestety końca wojny. Został aresztowany 9 kwietnia 1943 i przewieziony do siedziby gestapo w Alei Szucha. Nie chcąc dopuścić do swojego ewentualnego załamania w śledztwie, zażył truciznę. Nieoczekiwanie jednak, następnego dnia został wypuszczony. Już w domu stracił przytomność. Przewieziony do szpitala zmarł tego samego dnia. Trucizna, którą zażył zadziałała z opóźnieniem. Okazało się, że został aresztowany na podstawie nieprawdziwego donosu, a Niemcy nic nie wiedzieli o jego rzeczywistej konspiracyjnej działalności. Był to dla władz państwa podziemnego niepokojący sygnał i dlatego zostało podjęte śledztwo, mające zbadać przyczyny aresztowania i okoliczności śmierci. Z ramienia KG AK śledztwo prowadził Kazimierz Moczarski, który doprowadził do wykrycia donosiciela i jego egzekucji.

Ważnym rozdziałem życia Hipolita Gliwica była działalność wolnomularska. Został inicjowany jeszcze w Petersburgu w 1911 roku w polskiej loży „Orzeł Biały”, podlegającej Wielkiemu Wschodowi Francji. W latach 1920-1938, już w wolnej Polsce, należał do loży Kopernik, podległej polskiej obediencji Wielkiej Loży Narodowej Polski. Wówczas przyjął „imię zakonne” (pseudonim organizacyjny) „Ignacy Ziemiński”. Wkrótce nawiązał ścisłe kontakty z zagranicznymi ośrodkami wolnomularskimi, zdobywając coraz to wyższe funkcje. Już w 1922 nadano mu stopień Kawalera Różanego Krzyża (najwyższy 7 stopień w Rycie Francuskim „Doskonały Wolnomularz”). W trakcie pobytu w USA (1922-1925) przyczynił się do uznania polskiej Rady Najwyższej (centrali dla placówek wolnomularskich stopni wyższych, od

stopnia trzeciego) przez obie Rady Najwyższe USA, tj. Jurysdykcji Południowej z siedzibą w Waszyngtonie oraz Jurysdykcji Północnej z siedzibą w Bostonie. Od 1932 był poręczycielem przyjaźni Wielkiej Łoży Stanu Nowy Jork w Wielkiej Łoży Narodowej Polski.

W latach 1933-1936 piastował godność Wielkiego Sekretarza WLNP, a w 1937-1938 – I Wielkiego Namiestnika. Osiągnął również 33 (najwyższy) stopień w Rycie Szkockim Dawnym Uznanym, stając się członkiem Rady Najwyższej Polski i Najwyższej Kapituły. Był wielokrotnie delegowany przez polskie wolnomularstwo do reprezentowania go na międzynarodowych forach wolnomularskich m.in. Międzynarodowego Stowarzyszenia Mularskiego (AMI – Association Maçonnique Internationale to międzynarodowa organizacja utworzona w 1921 przez Wielkie Łoże i Wielkie Wschody Europy i Ameryki Łacińskiej), czy w Philaletes Society (masońskie towarzystwo badawcze, założone w 1928 w USA, mające charakter masońskiego związku pisarzy i wydawców). W okresie okupacji był członkiem kółka wolnomularskiego Józefa Ziabickiego w Warszawie (szerzej o działalności kółka pisałem w nr 91 FMW).

Hipolit Gliwic, jak to wynika ze wspomnień, był postrzegany jako człowiek, któremu na wszystko starczało czasu. Na działalność polityczno-społeczną, prace naukową, ożywione życie towarzyskie. Na tym polu był także ceniony wysoko. Był osobą pogodną, opanowaną, dowcipną, umiejacą znaleźć się w każdej sytuacji. Cechowała go tzw. „zimna krew”, ułatwiająca rozstrzygnięcie spraw kontrowersyjnych. Żywotność jego charakteru objawiała się także brakiem umiejętności siedzenia dłużej w jednym miejscu. Przynajmniej raz w tygodniu bywał we Lwowie czy Krakowie, dwa-trzy razy w miesiącu w Londynie czy Paryżu,

a kilka razy w roku w USA. Tego wymagały zresztą Jego rozliczne funkcje.

Z racji zajmowanych stanowisk oraz udziałów w różnych spółkach był osobą bardzo majątną. To pozwalało mu na pewną słabość: był stałym klientem sklepów odzieżowych światowych firm, lubił bowiem ubierać się z wyszukaną elegancją i nie liczył się wówczas z pieniędzmi. Gdy jednak była taka potrzeba, to również nigdy nie skąpił potrzebującym. Wspomina o tym m.in. Adam Pragier, znany socjalista i równocześnie kolega uczelniany Hipolita Gliwica (bo również profesor Wolnej Wszechnicy Polskiej), w wydanej pod redakcją Adama Ordegi i Tymona Terleckiego w 1945 w Glasgow pracy zbiorowej *Straty kultury polskiej*:

„Niezwracanie uwagi na pieniądze miało nieraz osobliwe następstwa w stosunku do studentów. Gliwic sam nie zaznał nigdy biedy studenckiej i wiedział o niej niejako ze słyszenia. Gdy zwracali się do niego, jako dziekana o pomoc studenci Wolnej Wszechnicy Polskiej, nieobfitujący w dostatki, z początku zazwyczaj trudno mu było się zorientować, o co im idzie. Szło zaś o zwolnienie z czesnego czy o stypendium. Gdy uświadomił sobie, że suma kilkudziesięciu czy paruset złotych może naprawdę stanowić przeszkodę w kontynuowaniu nauki i zmienić całe życie młodego człowieka, wpadał po prostu w przerażenie. Jego oznaki zaniepokojenia bywały w takich wypadkach czasem tak jaskrawe, że sam student zaczynał go pocieszać. Kończyło się zawsze tym, że dziekan znajdował radę i często sam przychodził z pomocą”.

Nie tak bogatą, ale równie ciekawą kartą działalności społeczno-politycznej wykazał się syn Hipolita, **Tadeusz**, urodzony w Petersburgu 14.08.1907. W dzieciństwie był wychowany przez matkę, gdyż ojciec zajęty był działalnością zawodową, polityczną oraz naukową i większość czasu

spędzał poza domem. Po ukończeniu gimnazjum Tadeusz studiował prawo i ekonomię na Uniwersytecie Warszawskim, a dalsze studia kontynuował we Francji. Po powrocie w 1934 zaczął pracę zawodową w Izbie Przemysłowo-Handlowej. W 1937 przeniósł się do Sosnowca, gdzie rozpoczął pracę w Towarzystwie Sosnowieckich Fabryk Żelaza. W tym samym roku zaangażował się w organizację Klubów Demokratycznych. Pod koniec lat trzydziestych XX w. poznał Marię Czyżowską (1905-1984); z tego związku miał syna Artura.

Okupację niemiecką Tadeusz Gliwic spędził pod Krakowem, w majątku żony. Po wojnie przez pewien czas, ze względu na swoje pochodzenie, był objęty zakazem pracy. Później zawodowo był związany m.in. z Uniwersytetem Wrocławskim jako wykładowca, następnie zajmował kierownicze stanowiska m.in. w Centralnym Urzędzie Planowania, Instytucie Urbanistyki i Architektury, Instytucie Żywności Zbiorowego, Instytucie Handlu Wewnętrznego. W końcówce życia zawodowego związany był ze spółdzielczością rzemieślniczą, gdzie pełnił funkcję wiceprezesa Zarządu Centralnego Związku Rzemieślniczych Spółdzielni Zaopatrzenia i Zbytu. Po wojnie kontynuował działalność w Stronnictwie Demokratycznym, lubił zresztą podkreślać, że zaczął w nim działalność jeszcze przed powstaniem SD, bo w Klubach Demokratycznych. W Stronnictwie udzielał się przede wszystkim w różnych zespołach ekonomicznych i był autorem wielu tekstów o tej tematyce publikowanych na łamach pism SD: „Kurier Polski” i „Tygodnika Demokratycznego”. Zmarł 19 maja 1994 w Warszawie.

Tadeusz Gliwic początkowo nawet nie zdawał sobie sprawy, że jego ojciec jest ważną postacią w polskiej masonerii. Dopiero po powrocie ze studiów we Francji ojciec zaproponował mu przystąpienie do Zako-



Hipolit Gliwic

nu. Został inicjowany w 1934 roku w Łoży Kopernik. Uroczystość inicjacyjną prowadził Kajetan Wysłouch, ówczesny Przewodniczący Łoży, a niegdyś zakonnik-kapucyn. Gliwic junior przyjął wówczas imię zakonne „Hipolit Matada”. W 1936 podczas wizyty w Polsce Johna Cowlesa, Wielkiego Suwerennego Komandora USA, zorganizowano łożę bankietową (to rytualny posiłek wolnomularzy, spożywany z okazji świąt i rocznic wolnomularskich; w jej trakcie obowiązuje tradycyjny porządek i łożowa hierarchia, specjalne słownictwo i porządek toastów, niedozwolone są prywatne rozmowy). Po wygłoszonym w języku polskim powitaniu honorowego gościa, poproszono Tadeusza o przetłumaczenie powitania na angielski. Gliwic junior znalazł się w niezręcznej sytuacji, bo specjalnie nie słuchał tego powitania. Nie wypadało mu jednak odmówić i doszedł do wniosku że skoro Cowles i tak nie zna języka polskiego

a obecni na sali (znający angielski) nie będą mu tego mieli za złe, wygłosi własną mowę powitalną i tak też uczynił.

Po przeniesieniu się do Sosnowca w 1937, afiliował się w tamtejszej Loży Staszic, gdzie został jej Sekretarzem, pełniąc jednocześnie w Wielkiej Loży Narodowej godność Zastępcy Wielkiego Sekretarza Zewnętrznego i Zastępcy Wielkiego Mistrza Obrzędów.

W 1961 Tadeusz Gliwic znalazł się, jako jeden z młodszych wiekiem, w gronie ośmiu masonów z przedwojennym stażem, którzy reaktywowali warszawską Lożę „Kopernik” (szerzej o tym pisałem w 91 numerze FMW). Gliwic był również tym, który dwa lata później, w 1963, w trakcie pobytu w Paryżu poinformował paryską Lożę Kopernik o reaktywacji sztuki królewskiej w kraju.

W Loży pełnił wiele funkcji, m.in. w latach 1961-1962 oraz 1971-1988 był Sekretarzem, 1962-1972 II Dozorcą a w 1988-1991 Przewodniczącym. Cały czas przyświecała mu jednak myśl o pełnej odbudowie regularnego wolnomularstwa w Polsce i reaktywacji Wielkiej Loży Narodowej. Dzięki jego staraniom doszło do tego w grudniu 1991. Został wybrany jej pierwszym po 1938 roku Wielkim Mistrzem. Godność tę pełnił do 1993. Na tym jednak nie poprzestał. Dążył do zwieńczenia polskiej regularnej masonerii systemem Wysokich Stopni i Radą Najwyższą Trzydziestego Trzeciego i Ostatniego Stopnia. Osiągnął ten cel w październiku 1993, kiedy to obudowana została Polska Rada Najwyższa. On sam został wybrany jej Suwerennym Wielkim Komandorem.

O reaktywacji Wielkiej Loży Narodowej poinformowano publicznie rok później, we wrześniu 1992. Wówczas to doszło do przełomowego wydarzenia: otóż 6 września 1992, w głównym wydaniu „Wiadomości TV”, wystąpił właśnie Ta-

deusz Gliwic jako Wielki Mistrz odrodzonej Wielkiej Loży Narodowej, a wraz z nim jej ówczesny Wielki Ekspert i wielokrotny przewodniczący paryskiej Loży Kopernik Jan Winczakiewicz (1921-2012). Gliwic poinformował widzów o wskrzeszeniu WLN, a Winczakiewicz skoncentrował się na skrótowym omówieniu współczesnych stosunków pomiędzy kościołem katolickim a wolnomularstwem. Było to pierwsze publiczne oficjalne wystąpienie przedstawicieli „Sztuki Królewskiej” w Polsce po drugiej wojnie światowej.

Tadeusz Gliwic został zapamiętany przez osoby, które go znały, jako człowiek o niespożytej energii i konsekwencji w działaniu, który wyróżniał się również niezwykłą pamięcią i poczuciem humoru.

Jak wspominałem wyżej, Tadeusz Gliwic w związku z Marią Czyżowską miał jednego syna, **Artura**, urodzonego 28 października 1939 w Warszawie. Artur Gliwic ukończył SGPiS, później pracował m.in. w Komisji Planowania. Na początku lat siedemdziesiątych (około 1973) wyjechał do Brazylii. Tam założył rodzinę i tam urodziło mu się troje dzieci. Po blisko 20 latach, w 1994 roku, powrócił do Polski. Żona Leda pozostała w Brazylii. Tu związał się z nową partnerką Marią i z tego związku miał syna Grzegorza. Co najmniej trójka z czwórki jego dzieci mieszka w Polsce i posiada polskie obywatelstwo.

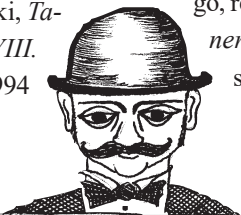
Po powrocie do Polski związał się z wolnomularstwem. W 1994 został inicjowany w Loży Kopernik, gdzie pełnił m.in. funkcje Skarbnika (1997-1998) i Przewodniczącego (2002-2003). Podobnie jak dziadek i ojciec również doszedł do najwyższych stopni wtajemniczenia wolnomularskiego i zajmował wysokie funkcje w Wielkiej Loży Narodowej Polski oraz w Radzie Najwyższej Rytu Szkockiego Dawnego Uznanego dla Polski.

Artur Gliwic zmarł 10 listopada 2018 w Warszawie i jest pochowany w grobie rodzinnym Gliwiców na cmentarzu powązkowskim w Warszawie (kwatery 241, rząd 4, grób 20).

Na Arturze, przynajmniej jak na razie, zakończył się blisko stuletni związek rodziny Gliwiców z wolnomularstwem, ale w historii najnowszej polskiego wolnomularstwa to nie jedyny przypadek, gdy powiązania rodzinne są równocześnie związane z masonerią. □

Wykorzystano: Ludwik Hass, *Wolnomularze polscy w kraju i na świecie 1821-1999: słownik biograficzny*, Warszawa 1999; Elżbieta Wichrowska, *Gliwicowie*, „Ars Regia” nr 2/1993 s.107-121; Tadeusz Cegielski, *Tadeusz Gliwic (Hipolit Matada) 14.VIII.1907-18.V.1994*, „Ars Regia” nr 1/1994

s.123-124, oraz tegoż autora zredagowany i opatrzony przypisami tekst, *Opowieść o reaktywacji i dziejach Rady Najwyższej RSDU dla Polski 1990 – 2010*. Wojciech Stelmaszczyk, 33° rozmawia z Wielkim Suwerennym Komandorem ad vitam, Jeanem Wojciechem Sicińskim, 33° [druk wewnętrzny Rady Najwyższej RSDU dla Polski, planowana publikacja 2022]; Cezary Leżeński, *Masoni bez maski*, Toruń 2006, s.220-227; Maksymilian Józef Ziomek, biogram Hipolita Gliwica, w *Polskim Słowniku Biograficznym*, t. VIII (1959-1960), s. 75; Artur Kijas, biogram Hipolita Gliwica w encyklopedii *Polski Petersburg* (<https://www.polskipetersburg.pl/>) oraz informacje uzyskane od Klausa Dąbrowskiego, redaktora naczelnego portalu *Masoneria w Polsce* (<https://wolnomularstwo.pl/>) i Tadeusza Cegielskiego.

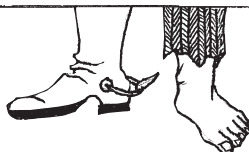


HIERARCHIA

Pod koniec II wojny światowej Jan XXIII był nuncjuszem papieskim w Paryżu i robił tam wszystko, co było w jego mocy, by pomóc Żydom uniknąć nazistowskich prześladowań. Zyskał sobie tym wdzięczność i szacunek rabina Paryża.

Pewnego dnia spotkali się przed jakimiś drzwiami i rabin chciał za wszelką cenę, żeby do środka pierwszy wszedł Roncali (przyszły papież). Jednakże nuncjusz, usuwając się, powiedział z uśmiechem:

– Bardzo proszę. Stary Testament przed Nowym.



TADEUSZ KOTARBIŃSKI

PRZYKŁAD INDYWIDUALNY KSZTAŁTOWANIA SIĘ POSTAWY WOLNOMYŚLICIELSKIEJ

Nie mogę odtworzyć dawnych przeżyć na podstawie dokumentów, te bowiem spłoneły w ogólnej pożodze Warszawy pod koniec wojny ostatniej. Muszę polegać wyłącznie na wspomnieniach, dobrze już zatartych, gdyż sięgających wstecz dość daleko poza półwiecze. Najdawniejsze są chyba te, które pochodzą z początków lat dziećdziesiątych ubiegłego stulecia...

Zasobny dwór ziemiański w Radzymińskim, urzekający dostojeństwem sędziwego domu. Dobrobyt tego domu stwarzał w duszy dziecka złudzenie, że wszystkim w ogóle dobrze jest na świecie. W słoneczny letni poranek wybiegało się do ogrodu pełnego niespodzianek. Jakże misterne są dzwoneczki fuksji z kropelkami świeżej rosy na barwnych płatkach... A teraz spójrz wyżej! Tam wdzieczą się różowe gwiazdki w ciemnym listowiu głógów... Złota słonecznego nieprzebrana obfitość, rzeka złotych promieni spływa nieustannie z świetlistych niebios... Pszczoły i muszki przenajrozmaitsze brzęczą dokoła cichym akordem. Motyle, zawsze ubrane odświętnie, polatują sobie nad łąką szczęśliwe i radosne...

Z Lirenki Teofila Lenartowicza przepisywało się do własnego zeszytu uroczę wiersze i powtarzało się ustami „Wiochny”: „Jak to dobrze Bóg zrobił, że ten piękny świat stworzył! Tak go ślicznie ozdobił, tyle kwiecica namnożył...”

Niewątpliwie stałym podtrzymaniem złudnego poglądu na świat jest piękno roślinności i krajobrazu. Stwarza ono pozór

dobrotliwej harmonii we wszechświecie, zwłaszcza jeśli się samemu żyje w dostatkach i wśród wygod i usług ze strony istot pomagających.

A widok nieba gwiaździstego z jego wiekowym ładem – tę ułudę umacnia; lub odwrotnie, ten właśnie widok wraz z obserwowaną stale życiodajną funkcją słońca stwarza w naszych umysłach fantazmat powszechnego, rozumnego i opiekuńczego ładu, natomiast wizja przyrody żywej, pięknej i pełnej objawów mistrzostwa w funkcjach życiowych, przyłącza się jako dodatkowe świadectwo owej prawdy rzekomej.

Olbrzymi głąz rozkosznej urody przyniata rodzącą się w męce i słabą w początkach refleksję krytycznego rozumu, która jednak nabiera coraz większej prężności i w końcu odrzuca precz brzemień kardynalnego błędu. Zanim to jednak nastąpi, osobowość dziecka trwa w atmosferze bajki z tysiąca i jednej nocy i kształtuje się w niej dobrze i pięknie aż do chwili przełomu.

Jak bardzo byliśmy szczęśliwi w dzieciństwie my wszyscy, którzy czuliśmy się pod bezpośrednią opieką „Matki Boskiej”. Należałem i ja do tych oddanych pod Jej opiekę – przez matkę, która w 46 lat potem, na łożu śmierci czytała nie modlitewnik, lecz Obronę Sokratesa...

Ale pamiętam spełnienie zobowiązania: siedmioletniego chłopca matka zawiozła do Częstochowy, by tam przed cudownym obrazem przystąpił do pierwszej komunii po odbyciu pierwszej spowiedzi...

Kult Madonny tchnie łagodnością uczuć dobrotliwych. Kojąco i uszlachetniająco działają narkotyki nabożeństwa majowego, głęboko zapadają w duszę i dobroczynnie urabiają podświadomość symbole litanijskich wersetów...

Dobrze było podrostkowi z tym wszystkim i czuł się on urabianym ku dobru. W letnią słoneczną niedzielę jeździło się do pobliskiego kościoła na sumę... Cóż to za teatr! Jaki wspaniały teatr! Księża i ministranci grają sztukę o potężnym napięciu ekspresji, a tłum ludu, wypełniający nawę kościelną, uczestniczy w owym misterium bynajmniej nie jako widz jedynie, lecz jako chór współczynny.

Ci ludzie proszą nie ujmują pojęciowo teologicznego sensu liturgii, lecz łączą się sercem z ekspresją odwiecznych symboli, wyczuwając, że rozpamiętuje się i uprzątnia sobie sprawy największej wagi.

Nie rozumieją, co znaczy „kyrie eleison”, i obce im są wymyślne koncepcje transsubstancjacji, ale gdy kielich wśród ciszy zupełnej unosi się ponad pochyloną głową duchownego, wzniesiony na rękach ku górze wyciągniętych – wówczas dusza zbiorową zebranych w kościele świadków misterium unosi się wzwyż wraz z rytualnym pucharem w akcie zbiorowej sublimacji...

Msza, ujmowana jako dzieło sztuki, jest formą równie uprawioną jak oratorium, jak pochod z transparentami dla uczczenia publicznej uroczystości, jak symfonia wreszcie lub inny twór muzyki czystej. I tak jest przeżywana przez ogół wiejski zebrany w kościele.

Ukończona, przechodzi znajomym i wdrożonym torem w akt wspólnego uniesienia i porywa za sobą każdego z obecnych (jeśli nie wyszło w nim serce do cna), gdy się rozlegnie wstrząsające sklepieniami kościoła unisono prastarej pieśni, której pierwsze słowa brzmią: – „Święty Boże, święty, mocny, święty a nieśmiertelny”, i która kulminuje w rozpaczliwym wołaniu:

„Od powietrza, głodu, ognia, wojny wybaw nas, Panie”.

Tak, bez wątpienia, najtrzeźwiejszy, najmniej na nastroje podatny sceptyk musi przyznać, że nabożeństwo może być i bywa uczuciowym przygotowaniem psychiki ludzkiej do przeżyć trudnych i czynów ważnych.

Czy nie mogłoby – rzucimy już tu nawiasem – pełnić tej funkcji nawet względem ateistów, gdyby je uniezależnić od wszelkich wmówień irracjonalnych, a pozostawić całą jego zawartość ekspresyjną i moralnie symboliczną?

A spowiedź... Toż to instytucja w zasadzie zbawienna. Człowiek potrzebuje jakiejś techniki katarskiej, jakiejś metody oczyszczania swojego wnętrza z urazów, więc i z udręki wyrzutów sumienia.

Ulgą jest dlań zwierzyć komuś życzliwemu, a dyskretnemu gnębiącą tajemnicę własnego złego czynu i naradzić się z nim ufnie, niby z sobą samym, nad tym, jak wyrządzoną krzywdę naprawić, jeśli się da, jak uzyskać z powrotem prawo do moralnego szacunku, jaką wobec siebie samego zastosować dyscyplinę psychiczną, by się utwierdzić w dobrej woli i w oporze przeciwko zdołnym pokusom i podszeptom.

Niepoważne traktowanie instytucji spowiedzi zdołało ją zdyskredytować, a nawet obrócić w narzędzie łatwego wymigiwania się od istotnej odpowiedzialności; jednak obserwuje się również dobroczynne skutki konfesjonału u ludzi wierzących, w zetknięciu ze spowiednikami biorącymi serio swoje zadania i dorastającymi do nich duchowo.

* * *

Wielkie to szczęście wierzyć w istnienie Boga Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela Nieba i Ziemi i w ład moralny przezeń ustanowiony w ogromie wszechbytu, i w Jego opiekę stałą i pomoc, i mieć w Nim realny wzór doskonałości, i być przeświadczonym, że prawa rzeczywistości mają sens etyczny, i że przyroda po to istnieje, by

człowiek mógł z niej korzystać dla podtrzymania swych sił w pochodzie wzwyż, ku szczytom sublimacji, i że jest od kogo dowiedzieć się o tym na pewno, gdyż Bóg objawił ludziom prawdy o sprawach najważniejszych i że nasi najbliżsi, nasi ukochani nie poumierają nigdy naprawdę, lecz – jeśli zasłużymy na to – spotkamy się z nimi w życiu przyszłym, wspaniałym, radosnym i nieskończonym.

Pamiętam, dobrze pamiętam, jedną z chwil uświadomienia sobie takiego szczęścia. Miałem wtedy pewno jakieś dwanaście lat. Było lato. Rozmyślałem sobie wśród ciszy leśnej i stało mi się jasne to właśnie, lecz nie to przede wszystkim. Raczej to, jak bardzo muszą być nieszczęśliwi ci, którzy nie wierzą.

I wkrótce potem popadłem sam w gehennę takiego nieszczęścia. Rozwiała się w nicosć pajęczyna ułudy. Po prostu przestałem wierzyć w jawną nieprawdę. Przejrzałem całą bezzasadność wszystkich wywodów katechizmu. Nie, nie, to dobre dla dzieci... Nie dam się zwodzić. Spojrzę prosto w twarz autentycznej rzeczywistości. Nie łudźmy się. Trwanie moje i moich ukochanych, i wszystkich w ogóle osób kończy się wraz z życiem naturalnym, tak jak kończy się życie mego przyjaciela psa, którego nieśmiertelności nie przewiduje się w katechizmie, tak jak nie przewiduje się nieśmiertelności muchy konającej na lepie.

Żaden Bóg nie opiekuje się ludźmi. Są oni pozostawieni sami sobie, jak wszystkie twory przyrody. Te powstały w drodze ewolucji w walce o byt, a my, ludzie, wyłoniliśmy się w drodze ewolucji z ciał przodków zwierzęcych.

Chłopiec otrząsnął się z ułudy i przepadła szczęśliwość dziecięca. Chłopiec poczuł się skazańcem, tworem skazanym na śmierć. Powiało niebezpieczeństwem cynizmu. Bo dla czegoż by się miał ktoś rozumny krępować czymkolwiek, skoro dziesięcioro Bożych przykazań zawisło w próżni... Czytało się to i owo z etyki i jej dziejów...

Przeszło się przez relatywizm i utylitarizm...

I jeśli nie ugrzęzło się w amoralizmie, to dlatego że działały czynniki zbawiennie kształtujące: otoczenie w postaci dusz szlachetnych, aura patriotyzmu i protestu przeciwko obcej przemocy, wyczuwanego jako świat piękna; dobra muzyka rozbrzmiewająca w domu na co dzień i wzbudzająca jakoś bezpośrednio dodatnie w duszy nastroje; a na tym tle wysiłek umysłu z trudem, ale i ze skutkiem kształtującego międzyludzkie, społeczne, czysto laickie uzasadnienie moralności.

Byłoby jednak czarną niewdzięcznością ze strony piszącego te słowa, gdyby nie uznał, że jednym z ważnych czynników było i jest przejęcie się od dziecka czią i zachwytem wobec świętych dlań ongi postacy ci idealnych, które stawiała mu przed oczy jako rzekomą rzeczywistość bań religijna. Te postaci to przede wszystkim Jezus, wcielenie bezinteresownej, czynnej i bezgranicznie ofiarnej dobroci i gorliwego, bezkompromisowego głoszenia przeświadczeń o tym, jak żyć należy, i jego Matka, obraz łagodności i dobrego serca...

Oczywiście urzekały chłopca same te cnoty właśnie i powiązanie ich z kościołem, nabożeństwem, sakramentami, religią nie było wcale konieczne; było tylko faktyczne. A fakty tego rodzaju powtarzają się i zdarzają wielokroć w biografjach ludzi.

* * *

Z tego wszystkiego, co wyżej, widać jasno, że droga zerwania z religią w omawianym przypadku prowadziła poprzez uświadomienie intelektualne, poprzez krytykę tradycyjnych pouczeń z punktu widzenia ich sensowności, zasadności, prawdziwości. Nie był to bynajmniej bunt serca, przeciwnie, dom opustoszały i ociemniały, dom, w którym zabrakło światła prawdy, opuszczało się z tęsknotą, pozostawiając na jego ścianach miłe sercu obrazy, skoro doszło się do przekonania, że nie są one por-

tretami istot rzeczywistych, lecz rojeniami pomylonej wyobraźni.

Nie było w tym rozwodzie ani trochę szyderstwa, w stosunku do tego świata idealnego, który się kochało w dobie wiary. Apostata stał się ateistą, nie bezbożnikiem. A wielka to, wedle mego rozumienia tych słów, różnica. Ateizm jest postawą intelektualną, przeświadczeniem z rubryki sądów egzystencjalnych.

Ateista jako taki sądzi po prostu, że nie istnieje Bóg (przy katechizmowym rozumieniu tego terminu, pełnego sprzeczności i fantastyki). Odrzuca tedy w konsekwencji interpretację Biblii jako objawienia bożego i za nic sobie ma wszelkie dowody, w których się to czy owo uzasadnia przez powołanie się na egzystencję Boga lub na autorytet rzekomego słowa Bożego.

„Bezbożnik” – to w moim rozumieniu arogant w odniesieniu do czcigodnych elementów religii. Jego stosunek do ideałów religijnych jest szyderczy. Nie ma żadnego powodu, by ateista musiał być bezbożnikiem.

Na szyderstwo zasługuje natomiast uporczywe trzymanie się nieprawdy, argumentacja wykrętna, wreszcie i przede wszystkim obłuda oraz inne wady i przywary, tak często spotykane u ludzi, sytuacyjnie, a zwłaszcza zawodowo związanych z ortodoksją religijną. Łatwe to pole harców polemicznych, a życie kleru oraz dzieje Kościoła dostarczają nieprzebranego mnóstwa okazji do przygwałdzania wszeteczeństw konstатовanych *in flagranti*.

Brudne i krwawe plamy na kartach dziejów papieżstwa, zbrodnie inkwizycji, wyczyny ciemnogrodu, pozorna świątobliwość rzekomego celibatu księży, z którego ludziska nagminnie śmieją się po kątach – to wszystko zdolne jest niejednego odstręczyć od religii samej, skoro zraza osoby uczciwe do ludzi działających w jej imieniu. Co więcej, ludzie ci i oparta na nich organizacja tak popolicie obstają przy siłach

wstecznych i tak często podpierają zmurzałe trony itp., że wszystko, co jako tako lewicowe, musi zwykle przeciwstawiać się im stanowczo.

Toteż odejście od religii odbywa się nader często w drodze takiego właśnie procesu, z grubsza i ogólnikowo – przez antykle rykalizm do antyreligijności.

W rozważanym przypadku nie było tak. Kierunek był odwrotny. Skoro pogląd na świat, zawodowo głoszony przez duchowieństwo, ujawnił się jako ułuda, powstał problem stosunku do jej rzczynek. Autor niniejszego roztrząsania nie zajmuje względem tej warstwy społecznej postawy wyłącznie negatywnej. Dziwi się raczej temu, że można jakoś w sposób dlań niewytłumaczalny godzić pewne napięcie inteligencji z wyznawaniem jaskrawych irracjonalności, albo też godzić zacość osobistą z deklaramentem sentencji, w które się nie wierzy.

Jest on wszelako pełen uznania dla osób – czy nie przeważnie płci żeńskiej? – które z wiarą naiwną łączą dobroczynność czystej wody i znajdują radość w opiekowaniu się tymi, co to najbardziej potrzebują opieki. I odczuwa żywą sympatię dla tych spośród duchownych, którzy swe powołanie upatrują w dopomaganiu duszom prostym na ciężkiej drodze życia, duszom niedorośłym do samodzielności myślenia krytycznego i potrzebującym pociechy w postaci praw moralnych owiniętych w opłatek świętej ułudy.

Dlatego więc byłoby jego marzeniem, by w krajach o tradycji chrześcijańskiej kościoły nie stawały się w coraz większej mierze miejscami zebrań kół niedostatecznie oświeconych, co prowadzi do poniechania z czasem wszystkich funkcji swoistych ołtarza, chóru i ambony, do zburzenia w przyszłości przeważnej ilości świątyń, podobnie jak wyburzono po miastach zbędne baszty strzelnicze i mury obronne, i do przeznaczenia pozostałych na muzea lub na takie czy inne cele użytkowe.

Czy nie lepiej by było otworzyć drzwi kościołów dla ateistów rozumiejących walory sztuki pięknej, zwanej nabożeństwem, i literatury, zwanej *Pismem świętym*, i działań po prostu dobrych, do których ewangelia zachęca, a które zbędnie uzasadnia się z ambony racjami sakralnymi. Można by wspólnie pielęgnować te piękne dramato-koncerty i rozczytywać się wspólnie w tej właśnie tradycyjnej literaturze, dopomagać sobie w działalności samopomocowej i tutelarnej i w pielęgnowaniu wychowawczym potrzebnych do tego oraz pięknych etycznie usposobień i – niechby nikt przy tym nikogo nie pytał, jak on sobie ową literaturę interpretuje egzystencjalnie i jaką moc sprawczą przypisuje elementom owej sztuki pięknej, a w szczególności niechby nikt od uczestników nie wymagał uznawania za prawdę notorycznych fantazmatów.

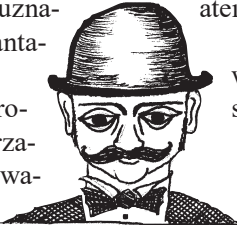
Słychać, że niektóre sekty protestanckie ku temu właśnie zmierzają. Mówi się coś podobnego o kwa-

krach, o unitarianach zamorskich... Niestety, u nas, w kręgu działania rzymskiego katolicyzmu, nie zanoszą się na nic podobnego. Religia pozostaje formacją kulturową wsteczną i coraz bardziej anachroniczną. Nie ma miejsca dla ateistów w Kościele rzymskokatolickim.

Przykro jest, będąc ateistą, zdawać sobie sprawę z obcości własnej pozycji względem przyzwyczajęń, upodobań, światopoglądu i stylu życia duchowego przeważającego ogółu członków własnego społeczeństwa. Pocięcha w tym, że religia, której ono hołduje, zawiera w sobie składowe moralne, które w interpretacji najlepszych jej zwolenników prowadzą do tej samej etyki bezinteresownej i gorliwej opiekuńczości, do której musi doprowadzić ateistę namysł nad istotą sumienia.

Przykład indywidualny kształtowania się postawy wolnomyślicielskiej. □

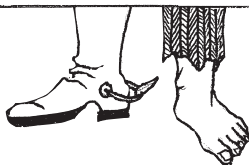
Książka i Wiedza,
Warszawa, 1981



PROSTYTUTKI

Papież Pius V wprowadził w Rzymie przymusowe kazania dla Żydów, wierząc, iż przekona ich do chrześcijaństwa. Tenże papież, znany z pobożności i ascetycznego trybu życia, postanowił rozprawić się z kurtyzanami. Dwa lata po swym wyborze wydał zarządzenie, aby wszystkie puttany opuściły natychmiast Wieczne Miasto. Zarządzeniom papieża przeciwstawili się rzymianie. Specjalna delegacja przekonała go o szkodliwości zarządzenia z ... moralnego punktu widzenia.

Skończyło się na paru drobnych restrykcjach. Między innymi zarządzo-no, aby w czasie „pracy” kurtyzany zdejmowały medaliki i szkaplerze.



DANUTA STOLAREK

ŻONY IWANA IV GROŹNEGO

Iwan Wasiliewicz, (u potomnych zyskał przydomek Groźny) urodził się w 1530 roku. Był synem Eleny Glińskiej i wielkiego księcia Wasyla III Iwanowicza, wnukiem słynnej Zoe Paleolog. W wieku trzech lat stracił ojca. Po jego śmierci regentką została matka, która wraz z radą regencyjną, składającą się z dwu braci zmarłego i grupy dwudziestu bojarów wyznaczonych przez umierającego ojca, miała sprawować opiekę nad Iwanem do piętnastego roku życia.

Relacje między Heleną Glińską a radą regencyjną układały się jak najgorzej. Bojarzy obawiali się ambitnej cudzoziemki, zamierzającej rządzić silniejszą ręką niż zmarły książę, zdeterminowanej do przeprowadzenia wielu reform i chęciom zbudowania nowych relacji z dworami europejskimi. To powodowało rozliczne konflikty z udziałem bojarów obawiających się utraty dotychczasowych przywilejów.

Helena Glińska zmarła w 1538 roku w okrutnych męczarniach. Istniało podejrzenie, że została otruta. Iwan wraz z bratem zostali skazani na łaskę, a raczej nie-łaskę bojarów. Był przez nich lekceważony i źle traktowany. Na dworze panowała atmosfera szpiegostwa, trucicielstwa, przemocy. Obserwacje postaw otaczających ludzi nauczyły go przebiegłości, nieufności i okrucieństwa.

Od dzieciństwa lubował się w krwawych grach, torturowaniu sług i zwierząt. Widok cierpienia torturowanych sprawiał mu niezwykłą satysfakcję, wręcz wprowadzał w stan euforii. Swoją pierwszą wyrok śmierci wydał mając lat trzynaście. Ofia-

ramą był książę Iwan Szujski. Tendencje sadystyczne nasilały się wraz z wiekiem. Ofiarami jego okrucieństwa byli także członkowie najbliższej rodziny.

Był ostatnim z dynastii Rurykowiczów na tronie rosyjskim. Historycy podkreślają jego wielką erudycję, znajomość Pisma Świętego, znakomitą pamięć, przyjemny, aksamitny głos, kiedy chciał wyrzucić wróżenie na rozmówcy.

Jego osoba od wieków budzi wiele sporów wśród historyków, pisarzy, reżyserów i polityków, a nawet u kompozytorów. „Zapotrzebowanie” na wizerunek Iwana Groźnego rosło w miarę nasilania się totalitaryzmu.

Swoista moda na Iwana Groźnego pojawiła się w XIX wieku. Pojawiły się dwa wizerunki tego cara. Jeden to postać realna, drugi wylansowany przez środowisko literackie, stworzony na zapotrzebowanie polityczne, gdzie podkreślano jego wielkie zasługi jako wybitnego państwowca, jego reformy, osiągnięcia centralistyczne (ignorując ofiary tych sukcesów), tego który stworzył podwaliny Imperium Rosyjskiego. Przypominano, że do zjednoczonego przez niego Wielkiego Księstwa Moskiewskiego przyłączył ziemie należące niegdyś do Złotej Ordy, takie jak Chanat Kazański, Chanat Astrachański. Również do jego zasług zalicza się skolonizowanie Syberii; nie wspominając, że była już w dużej części zasiedlona przez Rosjan zbiegłych przed represjami opriczniny i carską przemocą. Wypierali oni miejscową ludność, głównie muzułmańską (spadkobierców Srebrnej Ordy) i pogańskich autochtonów.



Iwan Groźny

Iwan stał się też bohaterem wielu utworów folklorystycznych. Występuje tam jako postać świetlana. Wszedł też do „wąskiej” literatury i sztuki. Wystarczy wspomnieć najbardziej znane dzieła, jak choćby poemat wybitnego poety epoki romantyzmu M. Lermontowa „Pieśń o carze Iwanie Wasylewiczu, o młodym opryczniku i o udałym kupcu Kałasznikowie” – przekład J. Tuwima, 1953 r., czy też bardzo popularną powieść A. K. Tołstoja „Książę Srebrny” (wielokrotnie wydawaną w Polsce), tragedię I. Łażecznikowa w pięciu aktach „Opricznik” (1842). Została natychmiast zakazana przez cenzurę, ale była kanwą libretta opery P. Czajkowskiego „Opricznik”. Postać ta została uwieczniona na obrazie I. Repina „Iwan Groźny i jego syn Iwan 16 listopada 1581”, ale obraz ten w społeczeństwie był nazywany „Iwan Groźny zabija swego syna Iwana”. Obraz zrobił wielką furorę w Galerii Tretiakowskiej, ale też rozległy się głosy żądające usunięcia dzieła. Do tego czasu nikt nie od-

ważył się przedstawić Iwana Groźnego jako szalonego synobójcy.

Również w XX i XXI wieku pozostawał postacią kultową dla despotycznych władców. Był ulubionym carem J. Stalina (polecił znanemu reżyserowi S. Eisensteinowi nakręcić trylogię o Iwanie Groźnym). Niestety, wizja genska i prawda historyczna, ukazana przez reżysera, „okazały się zbyt rozbieżne”. Część pierwsza, ukazująca cara jako twórcę podwalin Imperium, państwowca i reformatora, spotkała się z uznaniem; część druga ukazująca sadystrę, rozpustnika, despotę, twórcę opriczniny, w której wielu upatruje poprzedniczki NKWD, KGB i dalszych struktur funkcjonujących pod tymi czy innymi szyldami, były nie do zaakceptowania przez Stalina.

Prace nad przeróbkami filmu i „stworzeniem prawdziwej wersji” zakończyły się wraz ze śmiercią reżysera. Im bardziej autorytarny jest panujący, tym łaskawszym okiem patrzy się na tę postać. Obecnie wielu historyków z kręgu W. Putina „poszukuje” pozytywnych cech jego panowania, a krytyczne publikacje na temat tego cara napotykają ostry sprzeciw tzw. autorytetów historycznych (zbliżonych do Kremla). Nadal forsowana (szczególnie przez Komunistyczną Partię Federacji Rosyjskiej i osobiście G. Ziuganowa) jest idea jego kanonizacji.

Drugą próbę w 2009 roku podjął znany reżyser P. Łungin. Głosy krytyczne rozległy się ze wszystkich stron. Były próby bojkotu kin wyświetlających film. Reżyser skupił się na osobowości cara; pokazał, że jest on winien niemal wszystkich nieszczęść Rosji, że uniemożliwił otwarcie Rosji na Europę i dlatego renesansowa przemiana w Rosji stała się niemożliwa. Najbardziej atakowano dzieło za jedną ze scen (której autentyczność nie jest potwierdzo-

na faktami): Iwan jedzie powozem ciągniętym przez półobnażone dziewice z ludu. Nie chciano przyjąć do wiadomości, że reżyser traktował ją jako aluzję do dzikiego władcy Awarów i tak też ocenił „ucywiliżowanie” Iwana. Reżyserowi zarzucano wiele fałszerstw w przedstawieniu „świetlanej postaci”.

W pracach wielu historyków podkreśla się, że pod względem okrucieństwa Iwan nie był postacią wyjątkową. Był po prostu tworem epoki. Często jego postać przedstawia się na tle ówczesnych panujących w Europie, takich jak Henryk VIII Tudor. Przypomina się jego stosunek do kobiet, a stworzony przez niego trybunał Camera Stellata i procesy zamknięte służące rozprawie z arystokracją porównuje się z wyczynami okrutnej, zdziczałej i całkiem bezkarnej opriczniny. Wymienia się także Elżbietę I Tudor i jej ustawodawstwo dotyczące walki z włóczęgostwem, które zaowocowało wielkimi represjami.

Przywołuje się również przykład Ferdynanda I, króla Kastylii i Aragonii i jego swoistej opriczniny, działania Świętej Inkwizycji, niektóre czyny Ludwika XI, najczęściej jednak podejmuje się próbę swoistego wartościowania czynów Selima I, również noszącego przydomek Groźny, który pozbawił życia ojca – Bajazyda II – aby zdobyć władzę, ale stworzył podstawy Imperium Osmańskiego. Czy zatem można potępiać Iwana IV za synobójstwo, skoro historia (ich zdaniem) usprawiedliwiła ojcobójstwo? Tym bardziej, że przez swój bestialski czyn Iwan stracił nie tylko syna i wnuka, ale i następcę tronu. Jest więc, zdaniem obrońców cara, „ofiara okoliczności”, a nie wyrachowanym katem!

Wśród różnych określeń Iwana Groźnego często możemy spotkać określenie „Sinobrody”. Wszyscy historycy podkreślają jego niebywałe okrucieństwo, sadyzm, demoralizację i dwulicowość. Nie pozostało

to bez wpływu na los kobiet, które na swoje nieszczęście zostały kolejnymi jego żonami lub kochankami. Sam często się przechwalał, że „pozbawił dziewictwa ponad tysiąc dziewczyc”. Co do liczby, niektórzy historycy wyrażają różne opinie. Jedni uważają liczbę za zawyżoną, inni za niedoszacowaną. Tu zdania historyków są podzielone, ponieważ służących przywleczonych do carskiego łóżka nie uważano za obiekt choćby przelotnego zaangażowania cara, a za zwykłą czynność fizjologiczną. Szybko nudziły mu się kolejne żony, których pozbywał się na różne sposoby. Jednym z nich było zesłanie do klasztoru; był to swoisty „rozwód prawosławny”. Wzorem ojca jego syn Iwan, potencjalny następca tronu; też dwie pierwsze żony zesłał do klasztoru, a z ojcem wymieniali się kochankami, jak twierdził kronikarz Oderborn. Car na synowe też patrzył „okiem lubieżnym”; nie cofał się przed nieprzyzwoitymi propozycjami, jak twierdzi R. Skrynnikow.

Iwan jako pierwszy księżę moskiewski koronował się na cara Rusi. Był przekonany, że ów tytuł mu się należy z tytułu pochodzenia. Był wnukiem bratanicy ostatniego cesarza Imperium Biznantyjskiego Konstantyna XII z dynastii Paleologów, później sam tworzył swoją genealogię. Podczas inflanckiej wojny w 1580 r. w liście (bardzo obraźliwym) do króla Szwecji Jana III pisał: „Mam prawo do pieczęci Imperium Rzymskiego, gdyż pochodzę od cesarza Augusta”.

Koronował się w wieku szesnastu lat. Zgodnie z ówczesną tradycją na tronie powinien zasiadać żonaty panujący. Car rozpoczął poszukiwania kandydatki na małżonkę.

Pierwszą żonę wybrano podczas „smotrin niewiest”, swoistego przeglądu pretendentek do roli carowej. Jak twierdzą niektórzy, był to prototyp konkursu miss piękności. Była to ceremonia bi-

zanatyjskiego pochodzenia, stosowana na dworze moskiewskim. W konkursie uczestniczyły z reguły około półtora tysiąca dziewcząt od 12 roku życia. Ukrycie panny było surowo karane. Car z reguły oglądał „finalistki” (kilkadziesiąt), które przeszły przez różne lokalne szczeble eliminacji.

W 1547 r. została wybrana przez cara Anastazja Zacharina-Koszkina, spokrewniona z rodem Romanowów (którzy później to wykorzystali, przy wyborze pierwszego cara z dynastii Romanowów). Nie jest znana dokładna data jej urodzin. Jedni historycy wskazują datę 1530 rok, inni 1532. Była kobietą niezwykle łagodną i podobno jedyną, która potrafiła powstrzymać cara przed okrucieństwem w chwili napadów szaleństwa, i jedyną, którą car naprawdę kochał i był z nią szczęśliwy. W tym małżeństwie, które trwało zaledwie 13 lat, urodziło się sześcioro dzieci. Większość zmarła w niemowlęctwie. Przy życiu pozostali dwaj synowie: Iwan (1554) i Fiodor (1557).

Była znana z pobożności; w pałacu zorganizowała pracownię, gdzie razem ze swoimi służącymi haftowała szaty liturgiczne, wiele specjalnych tkanin ołtarzowych, zasłon, całunów itp. Wiele z nich zachowało się do dziś w kremlowskich cerkwiach.

Niestety Anastazja zmarła młodo w 1560 r. Jedni twierdzą, że wskutek choroby i częstych, ciężkich porodów; inni, że została otruta przez wrogi carowi ród Starickich, bliskich krewnych cara i skonfliktowanych z nim. W tę drugą wersję wierzył Iwan Groźny i często rzucał oskarżenia o „spisek bojarSKI”, korzystając z pretekstu do rozprawy z tymi, których podejrzewał o wrogi zamiary. Mimo że przez całe życie wspominał ukochaną Anastazję i twierdził, że wraz z jej odejściem „skamieniało jego serce”, żałoba cara trwała zaledwie kilka tygodni. Otoczył się licznym haremem

nałożnic. Podobno nawet co ładniejsze służące nie mogły się czuć bezpieczne.

Po śmierci Anastazji szukał zapomnienia w alkoholu i rozpuście, która przerażała nie tylko duchownych, ale i nienadmiernie wstrzeźliwych bojarów. Do stołu carskiego dopuszczono kobiety, które piły na równi z mężczyznami, a seks uprawiano publicznie, nie oddalając się zbyt od biesiadnych stołów. Jako ratunku dla zdrowia i reputacji cara zaczęto poszukiwać kandydatki na małżonkę. Coraz bardziej widoczne były zmiany w jego psychice. Narastała agresja wobec otoczenia, podejrzliwość, paranoiczne urojenia, że wszyscy dybią na jego życie, chcą go otruć itp. Mimo demonstrowanej przez cara wielkiej rozpaczki po śmierci ukochanej żony już osiem dni po jej śmierci rozpoczęto rozmowy o poszukiwaniu jej następczyni.

Los podsunął Iwanowi szczęśliwy przypadek. Po przyłączeniu chanatów Kazańskiego i Astrachańskiego imperialne zapędy Rosji przesunęły się na południe. Kabardyńscy murzowie złożyli wizytę carowi, obdarowali go tabunem koni rasy kaukaskiej, bogatymi darami, oraz złożyli prośbę o przyłączeniu Kabardii do Rosji. Car bardzo chciał wzmocnić swoją pozycję na Południu, tym bardziej że wielu Czerkiesów było na służbie wrogiego carowi sułtana tureckiego; zatem ten sojusz był korzystny politycznie. Umocnieniem sojuszu miał być ożenek cara z córką murzy kabardyjskiego Temriuka Czerkaskiego – Kuczenej. Nie zachowały się wzmianki o imieniu jej matki.

Reputacja przyszłej żony nie mieściła się w kanonach ruskiej obyczajowości. Łączył ją kazirodczy związek z bratem Sułtankułem. Ojciec, zaledwie piętnaście lat starszy od córki, nie bez grzesznych myśli spoglądał na jej nieziemską urodę. Krążyła plotka, że miejscowa znachorka-akuszerka „przywróciła jej dziewictwo”. Aby nie

zdradziła tajemnicy; zgładzono ją po zabiegu.

Szesnastoletnia muzułmanka Kuczenej (jej kabardyńsko-czerkieskie imię „Kuczenei” w przekładzie na rosyjski oznaczało „oczy księżniczki”; istniało kilka wersji jej imienia w różnych lokalnych językach) zadziwiła niebywałą urodą lecz nie znała ani słowa po rosyjsku. Przybyła do Moskwy w połowie czerwca 1561 roku. Aby zostać carową musiała zmienić wyznanie. 20 sierpnia 1561 r. odbył się jej chrzest, na którym otrzymała imię Maria i patronimikum Temriukowna, a następnego dnia (21 sierpnia) odbył się ślub w soborze Zaśnięcia Najświętszej Bogarodzicy na Kremlu.

Uroczystości weselne trwały trzy dni. Mieszkańcy Moskwy mieli zakaz wychodzenia z domów, aby nie zakłócili przebiegu uroczystości. Wkrótce po ślubie odbyło się przyłączenie Kabardyjno-Bałkarii do Rosji. Wielu książąt czerkaskich, krewnych carowej, otrzymało wysokie stanowiska i odegrało niepoślednią rolę w historii Rosji.

O tym weselu dyplomata angielski na dworze Iwana Groźnego, Jerome Horsey, pisał, że była to „dziwaczna, na poły pogańska uroczystość”. Nowa carowa bardzo szybko nauczyła się języka rosyjskiego. Od początku potrafiła zdobyć niesłychany wpływ na cara. Była przeciwieństwem potulnej, skromnej Anastazji. Historycy osiem lat jej pobytu u boku cara uważają za najczarniejszy okres w historii Rosji. Swoboda obyczajów, którą wprowadziła na moskiewski dwór, budziła zgorszenie dworzan i duchowieństwa; ale ze strachu nikt głośno nie wyrażał oburzenia.

Kevin M. F. Platt powołując się na źródła rosyjskie, w tym na powieści biograficzne Aleksieja Konstantynowicza Tołstoj i wiele innych źródeł, potwierdza to,



Pogrzeb Anastazji. Rycina z XVI-wiecznej kroniki

o czym autorzy rosyjscy (w tym autor wielotomowej historii Rosji Karamzin N.M. i inni) albo milczą, albo zarzucają nierzetelność autorom zagranicznym. Mowa o „dewianckich homoseksualnych skłonnościach” Iwana Groźnego. Jego faworytem był „piękny i kobiecy” oprycznik Fiodor Basmanow, który na przyjęciach carskich (często przechodzących w orgie) zjawiał się w damskich strojach; w takich też zapraszał cara do łaźni, gdzie „są chłopskie dziewczęta do wyboru i chłopcy – wszyscy poniżej dwudziestki” (Tołstoj A. K. „Książę Srebrny”).

Nie ma żadnego jej portretu, zachowały się tylko opisy jej wyglądu – duże czarne oczy, okolone długimi rzęsami, piękna cera z lekkim rumieńcem, kształtne pełne usta, ładny uśmiech, niezwykle zgrabna sylwetka. Uwielbiała publiczne egzekucje, krwawe widowiska, rzucanie ofiar na pożarcie psom, czy rozszarpywanie przez niedźwie-



Marfa Sobakina

dzie. Niemal do ekstazy doprowadzały ją jeszcze drgające w agonii strzępy ludzkie i strumienie krwi spływające z szafotu, patrzyenie na wymyślne tortury.

Podobno za jej radą car urządził salę tortur nad swoimi apartamentami, a woń ciał przypalanych na torturach bardzo ją podniecała. Jak twierdzili współcześni, podpowiadała carowi, jak wzbogacić arsenał środków represji o te wypróbowane na Kaukazie. Jak pisali kronikarze, pod względem wyuzdanych orgii górowała nawet nad rozpustnym i bezwzględny Iwanem. Świetnie jeździła konno i to w męski sposób, czym gorszyła dwór, była nieustraszona na polowaniach, w tym i na groźne zwierzęta. Jak stwierdza w swoich zapiskach Heinrich von Staden (który wówczas został jednym z opriczników cara), właśnie carowa, nazywana nieokrzesaną dzikuską, była jedną z najbardziej okrut-

nych inspiratorek przerażających zbrodni Iwana.

Potrafiła wykorzystać słabe strony cara, wrogo nastawiała go do ludzi, skłócała go nawet z hierarchami kościoła prawosławnego. Podobno za jej podszeptem car stworzył swoistą gwardię egzekucyjną – opriczninę”, bezkarnie zabijającą ludzi i konfiskującą majątki tych, którzy byli dla niej niewygodni. Wiedząc o patologicznej podejrzliwości cara i ciągłych obawach o spisek i zamach na jego życie (okrucieństwo jakiego doświadczył w dzieciństwie spowodowało, że lęki nie były bezpodstawne) podsyciała te obawy. Car przekonany, że ratuje własne życie i rodzinę, udał się do Aleksandrowskiej Słobody. Maria nie towarzyszyła mężowi w tej ucieczce, pozostała na Kremlu, urządzając orgie. Stosunek wykształconego cara do niej był niejednoznaczny. Mimo pokrewieństwa upodobań drażniła go swą niezwykłą przebiegłością, podstępnością, analfabetyzmem. Poza tym miał wątpliwości, czy jest odpowiednią macochą dla jego dzieci. Życie rodzinne nie układało się najlepiej.

Car coraz chłodniejszym okiem patrzył na piękną Czerkieskę. Mimo że car miał cały harem, nie tolerował jej kochanków. Dwór Marii składał się z pięknych dziewcząt z Kaukazu, i Maria sama podobno podsuwała carowi uczestniczki uczt i orgii. Sama też nie pozostawała dłużna, urządziła niemal codziennie ucztę, pojawiała się tam bez nakrycia głowy (co w owych czasach było niebywałym skandalem dla zamężnej kobiety). Zamiast w workowate rosyjskie sarafany ubierała się w stroje narodowe, mocno podkreślające jej sylwetkę. Rozpuszczano (mało wiarygodne) pogłoski, że bez skrępowania nago spacerowała po pałacu kremlowskim.

Car szybko wyleczył się z fascynacji kaukaską pięknnością. Tolerował jej hułastyczne życie, sam też otoczył się szerokim

gronem lokalnych nalożnic. Nie zachowała się dobra pamięć o niej. Często mawiano, że była „pierwszą Messaliną na dworze rosyjskim”, wyprzedzając o dwa wieki inną, tym razem z niemieckim rodowodem.

Rosja zawdzięcza tej pierwszej powiększenie terytorium o tereny Północnego Kaukazu – Kabardo-Bałkarię; drugiej zaś – stworzenie z zacofanej Rusi wielkiego Imperium z europejskimi ambicjami.

W 1563 urodziła syna Wasyla, lecz niemowlę zmarło po kilku miesiącach. Dlatego też wielu historyków określa ten związek jako bezdzietny.

Wkrótce Maria zachorowała, prawdopodobnie na zapalenie płuc. Podróż po północy Rosji z jej wilgotnym i zimnym klimatem nie sprzyjała urodzonej na południu księżniczce. Natomiast car i jego otoczenie uznali, że została otruta. Miała zaledwie 25 lat. Car znalazł kolejny pretekst do masowych kaźni.

Kolejną (trzecią) żonę car wybrał sam podczas kolejnego przeglądu narzeczonych. Finał odbywał się w Aleksadrowskiej Słobodzie (obecnie miasto Aleksandrow). W przeglądzie uczestniczyły prawie dwa tysiące dziewcząt. Po wstępnej selekcji przedstawiono carowi 24 piękności, po kolejnej turze 12. Wszystkie zostały zbadane przez lekarzy i akuszerki. Najzdrowsza okazała się Marfa Sobakina. Była córką szlachcica spod Kołomy. Wkrótce (26 czerwca 1571 r.) car ogłosił zaręczyny. Ślub odbył się 28 października.

Na tym przeglądzie car wybrał także żonę dla swego siedemnastoletniego syna Iwana. Ojciec nakazał mu ożenić się z Eudoksją Saburową, pochodzącą z bogatego bojarskiego rodu. Ślub syna odbył się tydzień później.

Dwa tygodnie po ślubie, 13 listopada. Marfa zmarła. Zachowały się różne wersje. Jedni twierdzili, że została otruta, inni,

że to skutek czarów. Jest też wersja, że było to samobójstwo. Marfa podobno panicznie bała się cara, a małżeństwo z nim przerażało ją. Nikt nie mówił o naturalnej śmierci. Powodem pogłosek o otruciu stały się tajemnicze zioła „na płodność”, przekazane przez matkę. Przesyłkę dostarczył ktoś ze służby.

Konsekwencje tej tragedii ponieśli członkowie jej rodziny. Car nie oszczędził nawet jej matki: została stracona wraz ze wszystkimi krewnymi zmarłej. Kiedy podczas renowacji sarkofagów kremlońskich otwarto jej trumnę, ujrano niezwykły fenomen. Marfa leżała blada, ale nie tknięta upływem czasu; mimo że od zgonu do dnia otwarcia trumny minęło 360 lat.

Car stawał się coraz bardziej podejrzliwy. Uważał, że otoczenie chce go pozbawić władzy. Na trzecie małżeństwo car z trudem uzyskał zgodę władz cerkiewnych. Natomiast na czwarty ożenek musiał poczekać, przekonując hierarchów cerkiewnych, że małżeństwo trwało zaledwie 15 dni i z powodu choroby żony było to *matri-monium non consummatum*.

Czwartą żoną została osiemnastoletnia córka bojara Kołtowskiego Anna, która na poprzedniej prezentacji w 1571 roku zajęła drugie miejsce. Mimo że oficjalnie cerkiew odmawiała zgody na ślub, to specjalnie w tym celu zwołany sobór cerkiewny pod przewodnictwem świeżo mianowanego biskupa Leonida nie znalazł przeszkód kanonicznych i wyraził zgodę, pod warunkiem odbycia przez cara trzyletniej pokuty. Iwan nie czekał na wyrażenie oficjalnego stanowiska soboru i ślub odbył się poprzedniego dnia. Przyjęcie weselne odbyło się w wąskim gronie najbliższych krewnych. Małżeństwo trwało trzy lata. Istnieją dwie różne wersje tego związku. Według pierwszej, Anna podzielała upodobania i styl życia cara (szczególnie orgie i pijatyki). W jej części pałacu zawsze pod ręką były kobie-

ty gotowe na wszelkie sposoby zadawałać cara. Sama nie żywiła do niego żadnych uczuć. Według innej – car i poddani kochali Annę, a bojarzy jej nienawidzili. Istnieje wersja jakoby Anna przekonała cara, żeby zlikwidował opriczninę i przez to wielu opriczników straciło życie. Oficjalnie opricznina została zniesiona w 1572, ale opinie historyków są podzielone. Można zgodzić się z opinią, że metody działania i porządki zostały rozciągnięte na całe państwo.

Małżeństwo nie trwało długo, bo już we wrześnie, podobno za namową bojarów, car zesłał Annę do klasztoru o najsurowszej regule. Oznaczało to samotne życie w ciemnej, nieogrzewanej podziemnej celi. Po złożeniu ślubów zakonnych otrzymała imię Daria. Niektórzy historycy twierdzą, że po śmierci cara chciano jej przywrócić wolność, lecz odmówiła. Spędziła tam 54 lata, zmarła w sierpniu 1626 roku. Cara przeżyła o 42 lata.

Historycy czasami mówią, że miała szczęście. Nie podzieliła losu poprzedniczek. Pozostając w klasztorze zachowała życie.

Na tym nie kończy się korowód carskich żon. Cerkiew wykluczyła go z prawa do uczestnictwa w nabożeństwach. Dla cara był zbudowany specjalny balkon z gęstą kratą, przez którą „wykluczony” mógł obserwować nabożeństwa. Nie powstrzymało go to przed kolejnym ożenkiem. Wiedząc, że oficjalnie cerkiew odmówi udzielenia ślubu, namówił przeora klasztoru Przemienienia Pańskiego, byłego oprycznika, by udzielił mu piątego, tajnego ślubu w listopadzie 1573 r.

Wybranką została piętnastoletnia księżna Maria Dołgoruka. Urodzona prawdopodobnie w 1555 r., pochodziła ze starego bojarskiego rodu. Jednakże w noc poślubną car nabrał podejrzeń, że wybranka nie jest dziewczicą. Jej los był przesądzony. Car urzą-

dził piknik nad rzeką, kazał wsadzić nie-
szczęsną na sanie, rozpedzone konie zostały pognane do wielkiego przerebła, w którym utonęła wraz z saniami i zaprzęgiem. Informacja o jej istnieniu pojawiła się dopiero w XIX wieku w pracy N. I. Kostomarowa; stąd trwają spory, czy faktycznie była ową piątą żoną, czy też uznano ją za nieistotny epizod w życiu cara i po prostu wykreślono z jego biografii.

Większość historyków za piątą uznaje Annę, siedemnastoletnią córkę księcia Wasilczykowa. Mimo protestów ojca car przysłał swatów i rozkazał przewieźć dziewczynę do pałacu; i tak została żoną cara. Małżeństwo nie zostało uznane przez cerkiew i nikt Anny nie traktował jak carową. Pożycie trwało zaledwie trzy miesiące. Anna, będąca okazem zdrowia, nagle zmarła na „chorobę piersiową” (tak wówczas w Rosji określano gruźlicę). Aby uniknąć sensacji, ciało nocą potajemnie wywieziono z pałacu do suzdalskiego klasztoru żeńskiego (miejsca zesłania wielu carowych) i pochowano na klasztornym cmentarzu.

Car nie zrezygnował z planów matrymonialnych. Kolejną żoną została Wasylisa Melentiewa. Historia tego małżeństwa jest jeszcze bardziej zaskakująca. Car chciał wyświadczyć zaszczyt swemu podwładnemu Nikicie Melentiewowi i złożył mu wizytę. Tam zobaczył jego piękną, dwudziestopięcioletnią żonę, która zrobiła duże wrażenie na carze. Rozkazał podwładnemu przysłać małżonkę na swój dwór. Kiedy ten wykrecał się chorobą, car postanowił odwiedzić „cierpiących”. Po kilku dniach Nikita Mielestiew ciężko zachorował i zmarł (podobno nie bez inspiracji cara; według innych źródeł został zabity przez opricznika na polecenie cara). Wasylisa, wdowa po diaku nieszlacheckiego pochodzenia, już na trzeci dzień po pogrzebie męża pojawiła się w pałacu cara. Nie było oficjalnych zaśl-

bin; zastąpiono je zwykłym błogosławieństwem i specjalną modlitwą.

Była starsza od poprzednich carowych i stosunkowo wcześniej zmarła. Jej dzieci z poprzedniego małżeństwa, mimo że ich ojciec był „niskiego stanu”, zostały szczerze obdarowane dobrami ziemskimi, większymi niż bojarzy za zasługi dla państwa. Podobno car był gotów spełnić każde jej życzenie. Z pałacu zostały usunięte wszystkie kobiety, które carowa mogła uznać za rywalki. W pałacu skończyły się orgie, pijatyki i kaźnie. Car sprawiał wrazenie wyciszzonego.

Sielanka nie trwała długo, zaledwie dwa miesiące. Pewnego razu car wszedł do jej sypialni i zastał ją z kochankiem. Mimo że kochał żonę, o wybaczeniu nie mogło być mowy. Najpierw rozprawił się z kochankiem, zmuszając żonę, by obserwowała jak pod jej oknem kochanek powoli kona w straszliwych męczarniach, wbity na pal. Następnie kazał wykopać wielki dół przy ogrodzeniu posiadłości w Aleksandrowskiej Słobodzie, w którym zostały pochowane dwie osoby.

Podobno duchowny celebrujący pogrzeb nie miał pojęcia, kogo chowa. W jednej trumnie był kochanek carowej księżę Iwan Diewtielew, w drugiej Wasylisa – żywa, związana i z zakneblowanymi ustami. Miejsce jej pochówku nie jest znane.

Po tym wydarzeniu Iwan Groźny znów pogrążył się w pijaństwie i rozpuście. Nieoczekiwanie (na trzy lata przed śmiercią) „dworski” ulubieniec A. F. Nagoj wyswatał go ze swoją bratanicą, córką skazanego na niełaskę bojara Fiodora Nagoja, z przepiękną, pogodną, pełną radości życia Marią. Iwan chciał się zaprezentować jako mężczyzna pełen wigoru. Sam konno przybył do jej rodzinnej siedziby; zarówno w roli i pretendenta do ręki, jak i swata. Postanowił, że Maria zostanie jego żoną. Oczywiście, samej zainteresowanej nikt nawet nie



Wasilisa Mielientiewa

pytał o zdanie. Ślub odbył się 6 września 1580 roku. Jak zwykle udzielił go protopop Nikita.

Ciekawostką pozostaje fakt, że przybranym ojcem pana młodego był jego własny 26-letni syn Fiodor, drużbą pana młodego – 22-letni książe Wasyl Szujski, a drużbą ze strony narzeczonej – rówieśnik Szujskiego – Borys Godunow; dosłownie na następnym dniu szwagier carewicza Iwana Fiodora Iwanowicza, ponieważ nazajutrz – 7 września 1580 r. – odbyło się wesele syna Iwana Groźnego. A dzień później syna Fiodora z Iriną Godunową, siostrą Borysa. Ciekawostką pozostaje fakt, że zarówno Borys Godunow jak i Wasyl Szujski po śmierci cara Fiodora Iwanowicza (co prawda na krótko), zostaną carami Rosji.

Według świadectw epoki Maria błagała ojca, by nie wydawał jej za starego, chorego i niemal oszalałego cara. Maria była bardzo piękna, młoda, pełna radości życia i zako-

chana w swoim rówieśniku. Nie miała jeszcze dwudziestu lat. Fakt, iż ślubu udzielił im protopop Nikita, a nie metropolita, dla Marii był symptomatyczny. Wiedziała, że ani ona, ani jej dzieci nie uzyskają prawa do dziedziczenia tronu. Urodziła ostatnie dziecko cara – syna Dymitra, który mimo śmierci najstarszego syna Iwana (zabitego przez ojca) nie miał szans, by zostać carem.

Niestety, szybko znudziła się carowi. Nie podzielała jego stylu życia, często miewała napady melancholii. Car coraz częściej rozmyślał, jak pozbyć się żony. Zaczął przez posłańców poszukiwać kolejnej. Niepowodzenia w życiu rodzinnym załamały cara. Jego mania prześladowcza zamienia się w obłęd, stan zdrowia stale się pogarszał, ale rozpacz nie trwa długo. Oficjalnie pozostając w związku małżeńskim, chociaż nie uznawanym przez cerkiew, nie rezygnował ze starań o mariaż angielski, który mógł przynieść Rosji wiele korzyści politycznych, podnieść prestiż międzynarodowy. Do obecnego (siódmego) małżeństwa nie przywiązywał większej wagi. W przypadku sukcesu tego przedsięwzięcia Marię czekałby w najlepszym przypadku habit zakonny. Nie do pozazdroszczenia byłby też los jej syna Dymitra.

Stan zdrowia władcy ciągle się pogarszał, medycy mówili o „psuciu się krwi i gniciu wnętrzości”, skóra schodziła całymi płatami, wydzielał odrażający trupi odór. Mimo krótkotrwałej poprawy śmierć nastąpiła 18 marca 1584 r. Zmarł nagle podczas gry w szachy. Złośliwi powiadali, że tu carowa wygrała swój los, ratując życie. O tej carowej jeszcze będzie głośno podczas korowodu samozwańców na moskiewskim tronie.

Po śmierci Iwana IV Maria z synem została zesłana do Uglicza – księstwa podporządkowanego przez cara carewiczowi Dymitrowi i jego matce. Tam pod strażą wychowy-

wała Dymitra, który w wieku 10 lat zginął jakoby w wypadku (atak epilepsji podczas gry w noże). Śledztwo potwierdziło, że był to nieszczęśliwy przypadek, ale nie zamknięło sprawy. Maria za brak nadzoru nad dzieckiem została zesłana do mało znanego klasztoru (przybrała imię Marfa).

Po kilku latach zjawił się jakoby cudownie uratowany Dymitr. Maria z wszelkimi należnymi carowej honorami została przewieziona do Moskwy do klasztoru Wniebowstąpienia. Przydzielono jej honorowe pomieszczenia, obsługę i warunki godne byłej carowej. Tam też 18 czerwca 1605 r. doszło do ich spotkania. Maria jakoby rozpoznała „swojego” syna Dymitra, przyjęła wizytę przyszłej synowej – Maryny Mniszech, której w reprezentacyjnych pomieszczeniach klasztoru udzieliła gościny aż do dnia ślubu. Znalazła się w centrum uwagi i nie traciła nadziei na powrót do przepychu pałacu kremlowskiego. Po śmierci Dymitra Samozwańca 3 czerwca 1606 r. carowa-mniszka Marfa zaprzeczyła swoim poprzednim potwierdzeniom, publicznie kajała się za fałszywe zeznania, powołując się na groźby różnych osób, gdyby odmówiła potwierdzenia tożsamości samozwańca. Zachowały się trzy sprzeczne jej wypowiedzi.

Maria (Marfa) Nogaja oficjalnie zmarła 20 czerwca 1612 r. (są różne daty jej śmierci – 1610, 1611, 1612) w Woskriesieńskim monasterze (Klasztor Zmartwychwstania) w Moskwie. Została pochowana w tym klasztorze.

Niezależnie od swoich żon, car także aktywnie ingerował w życie najstarszego syna Iwana, przygotowywanego na następcę tronu, który – jak twierdzą historycy – głównie odziedziczył jego wady, a nie zalety. Iwan, odczytany jak ojciec, asystował carowi nie tylko w posiedzeniach rady, przyjmowaniu poselstw zagranicznych, ale i w nocnych orgiach, masakrach i torturach. Do ulubionych rozrywek ojca i syna należa-

ło obserwowanie rozszarpywania skazańców przez dzikie niedźwiedzie, trzymane w klatkach dla rozrywki. Historycy twierdzą, że gdyby został carem, byłby równie okrutnym jak ojciec – albo nawet bardziej.

Młody Iwan traktował dwie pierwsze żony (Eudoksję Saburową i Praskowię Sołową) podobnie jak ojciec. Zesłał je do klasztoru, jeśli wierzyć zapiskom niektórych kronikarzy, za radą ojca. Trzecią żonę, Helenę Szeremietiewą, Iwan podobno bardzo kochał, mimo że zdradzał ją na prawo i lewo. Car podobno czynił bardzo niestosowne propozycje swoim synowym. Helenie grubiańsko zwrócił uwagę i dość mocno ją uderzył za jakoby niestosowny ubiór podczas ciąży (powinna mieć trzy warstwy strojów, skrywających brzemiennosc, nawet przed sługami, aby nikt nie rzucił uroku na potomka, a nie jedną warstwę, w jakiej zastał ją car w jej sypialni). Skutek uderzenia synowej był tak silny, że nazajutrz nastąpiło poronienie, car w ten sposób pozbawił się wnuka i kolejnego następcy na tronie. Dwudziestoosmioletni syn, oczekujący męskiego potomka, wystąpił w obronie żony. Rozgniewany car uderzył o w skroń okutą metalem pałką (posochem). Syn zmarł według jednej wersji nazajutrz, według innej po kilku dniach w 1581 r. Oficjalnie za powód zgonu podano silną gorączkę.

Trzecia żona Iwana (syna) po poronieniu, nie czekając aż car zadecduje o jej losie, sama udała się do klasztoru, gdzie jako mniszka Leonidia wkrótce zmarła. W moskiewskim klasztorze Nowodiewiczym spotkała żonę cara Fiodora, siostrę cara z wyboru – Borysa Godunowa Irinę Godunową jako mniszkę Aleksandrę.

Podejrzenia Iwana Groźnego, że wrogowie truli jego małżonki, choć brzmią absurdalnie, nie są pozbawione podstaw odnośnie do trucizn. Badania zachowanych szczątków niektórych carowych (mogił zmarłych w klasztorach nie odnaleziono),

wykazały zawartość wielu trujących substancji, lecz nie pochodzących z podawanych im trucizn, ale kosmetyków używanych przez wysoko postawione osobistości tamtych czasów. Na przykład pomadki do ust były produkowane na bazie związków rtęci i arszeniku – im carowa miała lepszy apetyt, tym krócej żyła. Włosy rozjaśniano kosmetykiem zawierającym kwas azotowy, piegi i przebarwienia skóry usuwano cyjankiem potasu. Aby nadać młody wygląd i rumieńce świadczące o zdrowiu stosowano maść zawierającą chlorek rtęciowy, a przed promieniami słońca chroniła biel ołowiana. Cerę poprawiano kosmetykami zawierającymi anhydryt arsenowy.

Siarczany wapnia, ołów, cynk, siarka, cyjanek potasu, rtęć, arszenik i ich związki były podstawowymi składnikami ówczesnej kosmetyki upiększającej i wielu maści, leczących niemal wszystkie przypadłości. Arszenik w małych dawkach podawano już dzieciom, aby przyzwyczaić organizm do jego działania i uniknąć w przyszłości otrucia. W ogłędzinach kandydatek na carskie narzeczone brały udział dziewczęta od dwunastego roku życia i każda matka robiła wszystko, by wybranką okazała się jej latorośl, upiększając ją wszystkimi dostępnymi specyfikami. Stosowano też tak zwane „czarodziejskie zioła”, a ich szkodliwość nawet nie podejrzewano. Związki metali ciężkich, miedzi, rtęci, antymonu, cynku, ołowiu, minii, bizmutu, i wielu innych substancji znalezione w szczątkach wielokrotnie przekraczały dopuszczalne normy (w niektórych szczątkach nawet ponad stukrotnie).

Paradoksem jest to, że znacznie dłużej żyły kobiety z ludu, które upiększały się sokiem z buraka (rumieńce), rumiankiem (rozjaśnianie włosów i cery) i wieloma innymi darami natury. Zielarki też dysponowały bogatym asortymentem ziół, na-

parów, wywarów z kory drzew i wyrobów zielarskich. Mleko, twaróg, miód i inne produkty spożywcze wchodziły w skład wielu ludowych środków upiększających.

Wracając do mariaży cara należy wspomnieć o tych kobietach, do ręki których pretendował car, a które na ich szczęście uniknęły straszliwego losu zostania małżonką Iwana IV. Zaraz po śmierci Anastazji, mimo werbalnych zapewnień cara o swojej rozpaczy, zaczął się rozglądać za kolejną kandydatką. Mimo, że trwała wojna z Polską o Inflanty, za godną cara Rosji została uznana siostra Zygmunta Augusta. Iwan przerwał żałobę i wysłał do Polski emisariuszy, by ocenili walory fizyczne i moralne najlepszej kandydatki. W Wilnie dochodzi do spotkania z Anną i Katarzyną. Wybór pada na młodszą Katarzynę. Zygmunt August był zdumiony tą propozycją, ale nie dał kategorycznej odpowiedzi odmownej. Twierdził, że nie może przystać na propozycję nie otrzymawszy zgody Fryderyka I, swego protektora, że siostra zostanie katoliczką; a poza tym woli wydać na mąż starszą siostrę Annę. Poza tym, jako warunek postawił korektę granicy polsko-rosyjskiej. Car powinien zrzec się Nowgorodu, Pskowa i Smoleńska oraz terytorium Siewierska. Car uznał te żądania nie tylko za wygórowane, ale wręcz bezczelne. I chociaż wzdychał przed portretem pięknej Katarzyny, zrezygnował z planów zostania szwagrem Zygmunta Augusta. Na dworze cara pojawiła się tymczasem piękna Czerkieska Maria Temriukowa. Car, mimo, że wziął ślub, to nie do końca zrezygnował z polskiego mariażu.

Tymczasem Zygmunt August zawarł układ matrymonialny ze Szwecją, a Katarzyna wyszła za mąż za Jana, księcia Finlandii, dziedzica korony szwedzkiej. Iwan Groźny potraktował to jako osobistą zniewagę. Sukces związany ze zdobyciem Połocka w 1563 r. rozzuchwiał Iwana. Zapro-

ponował pokój królowi Polski w zamian za oddanie całych Inflant i siostry Katarzyny. Za nieistotny uznał jej ślub z księciem Finlandii; jak i fakt, że sam się niedawno ożenił. Katarzyna pozostanie jego zakładniczką, a on zachowa respekt dla jej osoby. Cara i tym razem spotkała odmowa, którą odebrał jako wielki despekt.

Zastanawiającą rzeczą jest fakt szczerości Zygmunta Augusta. Czy naprawdę za niepewne zdobycze terytorialne był gotów poświęcić siostrę i oddać ją takiemu tyranowi, o którego charakterze wiedział od bojarów zbiegłych do Polski przed okropnościami opryczniny?

Inne dwie wybrane przez cara kandydatki mieszkały w dalekiej Anglii.

W latach sześćdziesiątych XVI wieku zostały nawiązane stosunki handlowe z Anglią. Były one korzystne dla Brytyjczyków, Rosja bowiem zaczęła sprowadzać wiele nieznanych dotychczas towarów. Iwan IV zaczął marzyć o zacieśnieniu tych stosunków i pozyskaniu Anglii jako sojusznika. Ponieważ jego paranoja się nasilała i wszędzie węszył spisek, w związku z tym postanowił znaleźć miejsce bezpiecznego azylu, gdyby został zmuszony do opuszczenia Rosji. W międzyczasie Anglia dostała prawo wyłączności na handel z Rosją i wiele przywilejów. W 1567 r. powierzył Jenkinsonowi – podróżnikowi i badaczowi terenów wschodnich, oraz negocjatorowi, by zawiózł Elżbiecie I tajne posłanie. Słyszał, że królowa jest kobieta piękną, inteligentną, stanowczą i wykształconą, ma 34 lata i jest niezamężna. On ma 37 lat, czerkieska małżonka dawno mu się znudziła, małżeństwo z królową Anglii traktuje nie tylko jako realne, ale i korzystne dla obu stron. Jenkinson miał przedstawić królowej obie propozycje. Stawka jest wysoka, Anglia nie może sobie pozwolić na zniechęcenie cara, ale i nie może spełnić drugiego żądania.

Następnie posłaniec królowej T. Randolph zapewnia cara o możliwości azylu, ale uchyla się od odpowiedzi na plany matrymonialne. Car w sprawach azylu proponuje wzajemność i niemal żąda, by królowa zamieszkała na Kremlu, gdyby jej życie było zagrożone. Misja Randolpha kończy się utrwaleniem zdobytych i uzyskaniem nowych przywilejów handlowych dla Anglii. W 1569 r. posłaniec wraca do Anglii w towarzystwie rosyjskiego wielmoży Sawina. Ma on zawrzeć wojskowy sojusz zaczepno-obronny. Po 10 miesiącach przywozi on carowi uprzejmy, ale ogólnikowy list podpisany przez Elżbietę I. Królowa jest gotowa podpisać sojusz i połączyć siły Anglii i Rosji przeciwko wspólnemu wrogowi. List ponadto podpisują najwyżsi dostojnicy Anglii.

Iwana ogarnia furia. Zwłaszcza po wzmiance, że może wraz z rodziną zostać azylantem na własny koszt. O mariażu nie ma nawet wzmianki. W odpowiedzi Iwan pisze bardzo impertynencki list do królowej, nazywając ją „zwykłą dziewczką, za którą krajem rządzą handlarze i jakieś parlamenty”. Odpowiedź Iwana bardziej bawi niż gniewa królową, uważa go za narwanego szaleńca. W kraju Iwan wszczyna nową falę represji.

Już podczas siódmego małżeństwa z Marią Nagoj wraca obsesyjnie do angielskiego mariażu. Skoro królowa nie może, to niech go wyswata z którąś ze swych kuzynek. Ileż cynizmu było w tym, by to jego teść Atanazy podjął się roli swata. Musi on wysłuchać długiej listy panien i wdów godnych do zastąpienia jego córki w pałacu carskim. Wybór pada na Mary Hastings, córkę lorda Huntingtona, ciotecznią wnuczkę królowej. Car natychmiast wysyła posłańca z podwójną misją: zawarcia traktatu sojuszniczego i zebrania wieści o Mary Hastings. Ma poinformować królową o planach, spotkać się z dziewczyną i przywieźć jej por-



Maria Nagoj – ostatnia żona Iwana Groźnego

tret „na desce lub papierze”, oświadczyć jej, że będzie musiała przejść na prawosławie, a gdyby miała obiekcje co do stanu cywilnego cara – oświadczyć, że obecna żona jest córką zwykłego bojara i bez problemu można ją umieścić w klasztorze lub „odprawić” (nie do końca wiadomo, co car miał na myśli). Ma ponadto zapewnić ją o wysokich apanażach czekających ją w Moskwie. W zamian za małżeństwo z ciotecznią wnuczką car żąda od królowej pomocy Anglii w wojnie ze Stefanem Batorym.

Podczas spotkania z królową w gronie dostojników, królowa rozplywa się w uprzejmościach i przejawia zainteresowanie carem i jego rodziną. Poufna część misji jest omawiana kilka dni później. Królowa udaje szczęśliwą z możliwości nawiązania stosunków rodzinnych z moskiewskim satrapą, ale odrzuca możliwość spotkania z wybranką, ponieważ niedawno

przeszła ospę wietrzną i nie chce pokazywać oszpeconej twarzy. Nie pozwala także na namalowanie jej portretu. Obiecuje, że po wyzdrowieniu przekaże portret. Chce jednak wcześniej uzyskać potwierdzenie przywileju całego monopolu na handel z Rosją. Posłaniec jeszcze targuje się o kwestie protokolarne (królowa nazywa cara „kuzynem”, posłaniec żąda, by nazywała go „bratem”). Królowa zaprasza na audiencję pożegnalną, posłaniec ma poczucie niespełnionej misji. W odpowiedzi pokazano mu gazetę (z 19 października 1582 r.) z informacją o narodzinach ostatniego syna cara – Dymitra. Posłaniec zaprzecza, traktuje informację jako wrogi wymysł. Po ponad dziewięciu miesiącach otrzymuje przyrzeczony portret dla cara, a samą Mary Hostings widzi z daleka na przyjęciu w ogrodach lorda Bromleya. W liście do cara pisze, że „jest wysoka, szczupła i białoskóra; ma niebieskie oczy, jasne włosy, prosty nos, długie i smukłe palce dłoni”. Ani królowa, ani jej cioteczna wnuczka nie potraktowały sprawy poważnie. Komedia była odegrana w celu zapewnienia przywilejów dla angielskich kupców.

Podczas rozmowy z carem jej wysłannik bardzo ganił wnuczkę królowej (portret jest mocno upiększony, w rzeczywistości jakoby jest brzydka, stara, ma już 30 lat, chorowita i odmawia zmiany wyznania), ale obiecuje znaleźć inną krewną królowej do roli carowej. Ostatnie burzliwe spotkanie odbywa się w lutym 1584 r. W marcu car umiera. Śmierć zakończyła tę ponurą farsę. Podczas choroby sporządził swoisty rachunek sumienia. Lista jego ofiar obejmuje tysiące niewinnie skazanych, zamęczonych podczas okrutnych tortur. Posłał duże kwoty do klasztorów, aby modlono się za ich dusze. Listę wielokrotnie uzupełniał o imiona tysięcy ofiar, o których przypomniał sobie sam lub odpowiedzieli mu

kronikarze. Wszyscy byli ofiarami spisków, intryg bojarów, osobistych wrogów. Sam nie miał żadnych wyrzutów sumienia.

Iwan Groźny w ostatniej chwili przyjmuje święcenia zakonne i imię Jonasz. Przed Bogiem (w jego mniemaniu) stanie jako bezgrzeszny mnich, a nie rozpustny i okrutny car Iwan. W swoim rachunku sumienia nie uznawał za grzech zabicia syna. Skoro jego zdaniem sam Bóg skazał swego syna na śmierć, więc obaj są zabójcami muszą się nawzajem zrozumieć. Został pochowany obok syna, którego zabił. □

W artykule wykorzystano między innymi materiały z następujących źródeł:

- Владимир Сви́рин, *Возлюбленные насильника*. Интернет-публикация, Москва 2002.

- Сергей Нечаев, *Иван Грозный. Жены и наложницы Синей Бороды*, серия Кумиры. Истории великой любви, АСТ 2011.

- В.Балязин, *Занимательная история России, Середина XVI – конец XVII века*, Москва 2001.

- Елена А. Арсеньева, *Гарем Ивана Грозного*; Эксмо-Пресс, Москва 2000.

- Kevin M. F. Platt, *Terror i wielkość*, przekład K. Sosnowska, wyd. Sic!, Warszawa 2013.

- Руслан Скря́нников, *Иван Грозный*, przekład J. Dancygier, PIW, Warszawa 1979.

- W. Serczyk, *Иван Грозный*, Wrocław – Warszawa – Kraków, Ossolineum, wyd. III, 2004.

- H.Troyat, *Иван Грозный. Крвавы творца Imperium*. Seria: Wielcy historii. Przekład B. Przybyłowska, wyd. Amber, Warszawa 2006.

- В.Тихомиров, *Царь, просто царь*, Огонёк № 27 (5105) от 16 ноября 2009.

- Ponadto wykorzystano wypowiedzi archiwalne reżyserów filmów o Iwanie Groźnym: P. Łungina i S. Eisensteina, oraz telewizyjne i prasowe materiały publicystyczne, poświęcone powyższej tematyce.

TEATR RAPSOBYCZNY (1941–1953). OD NARODZIN PO LIKWIDACJĘ.

Cz. II

SEZON 1946/1947

KRÓL-DUCH I PIĘCIOLECIE TEATRU

Sezon 1946/1947 w Teatrze Rapsodycznym nie zaczynał się optymistycznie. 28 września 1946 roku otwarto w Krakowie, przy ul. Warszawskiej 5 Szkołę Dramatyczną, w której wykładowcami zostali M. Kotlarczyk i D. Michałowska. W jej ramach powstało 3-letnie Studium Dramatyczne (jako szkoła mówienia: 15 godzin w tygodniu, z zakresu żywego słowa, plastyki, estetyki i historii teatru), prowadzone początkowo przez T. Kudlińskiego. To Studio Rapsodyczne przetrwało do 1 marca 1953 roku.

Na inaugurację sezonu 1946/1947 Kotlarczyk wystawił długo przygotowywany rapsod *Bagnet i wiersz*. Złożyły się nań świeżo publikowane w *Tygodniku Powszechnym* i *Odrodzeniu* wiersze i liryki Stanisława Balińskiego, Jerzego Brauna, Władysława Broniewskiego, Mieczysława Jastruna i Juliana Tuwima. Zespół teatru powiększył się do 12 aktorów. Dziesiątego października 1946 roku Juliusz Osterwa zapisał w swoim raptularzu: „TR jest niezwykły. Ani dotąd w Polsce, ani za granicą nie widziało się czegoś podobnego (...). Tu się widzi Słowo i słucha się szelestu jego skrzydeł”.

Na pięciolecie Teatru Rapsodycznego Kotlarczyk wystawił *Króla-Ducha* Słowackiego z muzyką Chopina. Był to w zamysle korowód mar z legend wczesnośredniowiecznych dziejów Polski. 3 listopada *Króla-Ducha* oglądał Karol Wojtyła – były aktor Rapsodycznego i świeżo wyświęcony

ksiądz. W jubileuszowym programie swoje teksty zamieścili m. in. Jerzy Braun, Artur Górski, Kazimierz Nitsch, Zygmunt Leśnodorski, Stanisław Pigoń, Teofil Trzcіński i Jerzy Zawieyski. Czwartego listopada zespół uczestniczył przed trumną św. Stanisława na Wawelu w cichej mszy prymicyjnej Karola Wojtyły.

W grudniu 1946 roku teatr zrealizował jeszcze premierę z innego gatunku i repertuaru: *Rozkoszy a krotchwili*, czyli zestawów tekstów: *Żywota człowieka poczciwego* M. Reja, *Żony modnej* I. Krasickiego i *Chudego literata* A. Naruszewicza. Spektakl zagrano 27 razy. Tadeusz Kudliński chwalił, natomiast A. M. Swinarski pisał o „ponurej klapie”, zarzucając Kotlarczykowi „dydaktyzm i brak smaku”, który „za pomocą kapy i serwety próbuje zainscenizować *Powrót taty*”. Atak przedłużył Jan Alfred Szczepański (Jaszcz), pisząc o przedstawieniach Teatru Rapsodycznego jako „mgławicach, mistycznych, emigracyjnych, ezoterycznych i patriotyczno-lucyferycznych”. Mówi też o szkodliwości takiego teatru dla młodzieży.

Pomimo tych ataków Teatr Rapsodyczny występował z powodzeniem w Warszawie na początku lutego 1947 roku. Grał w Sali „Romy”, Teatrze Polskim na Karasia, a także na Pradze przy ul. Otwockiej, wystawiając w sumie siedem razy, m. in. *Króla-Ducha* i *Hymny*.

4 lutego 1947 roku pismem z Zarządu Głównego ZASP Teatr Rapsodyczny zostaje uznany za „samodzielną instytucję teatralną o charakterze eksperymentalnym, posiadającą równorzędne znaczenie artystyczne z teatrem zawodowym”. Dało to



Afisz przedpremierowy

oddech teatrowi, wobec ciągłych uszczypliwości i napaści.

W tym samym czasie Teatr wznawia *Pana Tadeusza* i *Hymny*, oraz na prawach premiery *Króla-Ducha*. W marcu 1947 roku Konstanty Ildefons Gałczyński w cyklu Teatrzyku „Zielona Gęś” napisał dla rapsodyków miniaturę *W szponach* meteorologii, a teatr występuje m. in. w Kielcach, na scenie Domu Kultury Robotniczej (w repertuarze: *Pan Tadeusz* i *Król-Duch*); na widowni znajdował się biskup kielecki Czesław Kaczmarek.

W marcu 1947 roku Teatr dał premierę *Samuela Zborowskiego*, przedstawienie – jak pisano – „gęsto mistyczne”. W prologu Kotlarczyk wykorzystał *Apokalipsę* św. Jana. Przedstawienie cieszyło się średnim zainteresowaniem. W sumie zagrano je 13 razy, bywało, że dla 3 widzów. Jednym z nich był Aleksander Zelwerowicz, który miał ponoć oświadczyć: „Wobec tego co tu u was widziałem i słyszałem, moja siwa głowa z respektem”.

Ale nad teatrem znowu zbierały się, nie poraz pierwszy, chmury. Ówczesny wojewoda krakowski Kazimierz Pasenkiewicz wezwał do siebie Kotlarczyka i oświadczył mu, że „teatr spełnia robotę niespołeczną i antypaństwową” i podjął decyzję o pozbawieniu go możliwości występowania przy ulicy Skarbowej. Mieczysław Kotlarczyk postanowił interweniować u kardynała Augusta Hlonda, prymasa Polski, którego po-

znał przy okazji występów w Warszawie. Wizyta odniosła skutek, ale teatr nie wraca na Skarbową. Uzyskuje zgodę na adaptację na teatr lokalu u Sióstr Miłosierdzia w Krakowie, przy ul. Warszawskiej, gdzie jeszcze niedawno mieściło się Studium Teatralne Iwo Galla. W obronie zagrożonego teatru w czerwcu 1947 roku, organizują się: Jerzy Braun, Aleksander Zelwerowicz i Leon Schiller. Kotlarczyk stara się o audiencję u prezydenta Bolesława Bieruta. Ale cały sezon 1946/1947 kończy się stanem niepewności, do którego teatr zdołał się już przyzwycząić, ale który ciągle nie wróży nic dobrego. W liście do Wandy Górskiej (w sekretariacie prezydenta Bieruta), pomagają teatrowi Wanda Duraczowa, która pisze symptomatyczne słowa: „Myślę, że teatrem tym warto się zainteresować i dogadać z kierownictwem – w tym sensie, by mieć wpływy na repertuar”.

SEZON 1947/1948

Jesienią 1947 roku Teatr Rapsodyczny rozpoczął sezon na adaptowanej scenie w lokalu Sióstr Miłosierdzia przy ul. Warszawskiej 5 (długość sali 15,65 m, szerokość 7,60 m). W odnowionym wnętrzu wstawiono dwa rzędy krzeseł. Paradoksalnie, płytka scena okazała się atutem Teatru Rapsodycznego operującego skrótem, umowną scenografią oraz poetyckim repertuarem. Na balkonie umieszczono fortepian, nieodłączny element wszystkich premier Rapsodycznego.

W listopadzie 1947 wystawiono rapsody Wyspiańskiego (poświęcone Bolesławowi Śmiałemu, Henrykowi Pobożnemu, Kazimierzowi Wielkiemu). Była to niejako kontynuacja *Króla-Ducha*. Kotlarczyk zrezygnował z jakiegokolwiek scenografii, oddzielając jedynie przestrzeń kotarami. Użył przez to efekt cmentarnego rytmu pogrzebu, nazbyt jednak przeładowanego patosem. Była to 21 premiera Rapsodycznego i 276 przedstawienie.

Również jeszcze w listopadzie Kotlarczyk wznowił *Portret artysty* Norwida. Okazją do prezentacji była 125 rocznica urodzin poety i otwarta w Krakowie wystawa jemu poświęcona. Kotlarczyk pozostał przy Norwidzie, wystawiając w grudniu 1947 roku *Dialogi miłości* zbudowane z fragmentów *Kleopatry* i *Tyrteja*. Kudliński odnotował, że dla niego był to pierwszy symptom „teatru gry”, przy wyraźnym podziale ról: (np. Cezar – A. Kowalczyk, Kleopatra – L. Legut, Tyrta – M. Kotlarczyk, Egea – D. Michałowska) oraz oprawie scenograficznej i kostiumach.

W lutym 1948 roku odbyła się premiera jednego z największych spektakli Teatru Rapsodycznego – *Eugeniusza Oniegina* Puszkina. „Romans wierszem – jak pisano – w przekładzie Leo Belmonta i Juliana Tuwima”. Wielu recenzentów uznało to za *opus magnum* Teatru Rapsodycznego. Konstanty Pużyna pisał o grze Rapsodycznego jako „pełnej poetyckości oraz klasycystycznym spokoju i opanowaniu”. Podkreślał wielką rolę Danuty Michałowskiej jako Tatiany.

SEZON 1948/1949

W sezonie 1948/1949 Teatr Rapsodyczny określił swoją pozycję poprzez aktywne włączenie się w obchody Roku Mickiewiczowskiego. Rocznicą była nader rozdmuchana, a w województwie powołano komitety powiatowe i gminne. Najlepszym uczniom wśród młodzieży pochodzenia chłopskiego i robotniczego miano wręczać egzemplarze *Pana Tadeusza*. Komitety regionalne otrzymywały teksty odczytów o Mickiewiczu. W Krakowie zaplanowano dwie wystawy okolicznościowe, dyrektor Bronisław Dąbrowski miał przygotować inscenizację *Książki Adama Mickiewicza*, a Kotlarczyk – *Pana Tadeusza*.

To właśnie *Pan Tadeusz* stał się wydarzeniem sezonu 1948/1949. Adaptację i inscenizację, trzecią w historii Teatru Rap-



Afisz Teatru Rapsodycznego

sodycznego, przygotował oczywiście Mieczysław Kotlarczyk. Było to nowatorskie odczytanie wierszy Mickiewicza. Wojciech Dzieduszycki pisał o syntezie klasycyzmu i romantyzmu: „Nie pamiętam, żeby teatr zrobił na mnie większe wrażenie (...), jako poemat, pieśń o ziemi, obrazek z natury”. Można stwierdzić, że wystawienie *Pana Tadeusza* było szczytowym efektem „wzbożonego symbolu”, poprzez wprowadzenie elementów roślinnych, kolumn, dworu i lasu. Aktorzy grali swe role podzieleni na pięć grup, m. in. osoby dramatu, postacie-zjawiska, postać poety. W spektaklu zagrali: Zosia – D. Michałowska, Tadeusz – A. Kowalczyk, Telimena – K. Ostaszewska. Mickiewicz – M. Kotlarczyk.

Pan Tadeusz wzbudzał zachwyt i zbierał entuzjastyczne recenzje. To między innymi spowodowało, że Kotlarczyk otrzymał zaproszenie na centralną akademię z okazji 100-lecia śmierci Słowackiego, która odbyła się w Teatrze Polskim w Warszawie. Przemawiał premier Józef Cyrankiewicz, referat wygłosił Kazimierz Wyka,



Afisz Teatru Rapsodycznego

a w części artystycznej – recytacjach – wystąpili: Jerzy Kreczmar, Władysław Hańcza, Aleksander Zelwerowicz, Nina Andrycz i Marian Wyrzykowski.

Druga część sezonu 1948/1949 w historii teatru polskiego wiąże się z proklamowaniem socrealizmu. W dniach 18-19 kwietnia 1949 roku miała miejsce w Oborach I Krajowa Narada Teatralna, w czasie której minister kultury i sztuki Włodzimierz Sokorski przedstawił zasady nowej polityki państwa wobec kultury, w tym teatru. Sokorski dowodził, że „nowa widownia (...) postuluje repertuar teatralny, wywierając nacisk w kierunku pomnożenia sztuk postępowych, ze szczególnym uwzględnieniem sztuk raździeckich, a usunięcie z teatrów drobno-mieszczkańskiej szmiry i wszelkich przerostów formalistycznych”. Jan Alfred Szczepański w swym wystąpieniu dodał, że „poza afirmacją rzeczywistości w jej socjalistycznym postępie jest tylko ugór i pustynia”.

Ale zanim na dobre zaczęło się „wdrażanie proletkultury”, Teatr Rapsodyczny

skutecznie bronił się nowymi dokonaniem, a Kotlarczyk został zaproszony do marszałka sejmu Władysława Kowalskiego na posiedzenia komitetu uczczenia 150 rocznicy urodzin Aleksandra Puszkina.

Z drugiej strony Rapsodyczny utwierdzał się w swoim posłannictwie. 5 czerwca 1049 roku, w dniu święta Zesłania Ducha Świętego, kardynał Stefan Wyszyński przesłał do Kotlarczyka list, w którym napisał: „wyrażam nadzieję, że zadanie rehabilitacji słowa podjęte przez Pana Dyrektora i Jego ofiarny zespół będzie miało znaczenie podstawowe dla odrodzenia życia narodowego i moralnego. Słowo jako wyraz ducha musi wyrażać prawdę uczuć i przekonań, musi jednoczyć serca, a nie rozdzielać, musi budzić zaufanie wzajemne. Wytrwajcie w tym trudnym posłannictwie, a zasłużycie sobie na wdzięczność Narodu.

W końcu sezonu 1948/1949 krakowska rozgłośnia Polskiego Radia rozpoczęła emisję *Eugeniusza Oniegina* w reżyserii Jerzego Ronarda Bujanańskiego. 12 sierpnia 1949 roku odbyła się akademie ku czci Puszkina w Krakowskim Domu Kultury przy Rynku Głównym 27. Po wykładzie Henryka Markiewicza zespół Teatru Rapsodycznego „odczytał” fragmenty *Eugeniusza Oniegina*. A w sierpniowym numerze moskiewskiego tygodnika *Teatr* ukazał się przeglądowy artykuł o Teatrze Rapsodycznym.

Świadczy to wszystko o tym, w jak skomplikowanej materii sprzeczności poruszali się rapsodycy cztery lata po wojnie. Nie można było w opinii dogmatyków socjalizmu pogodzić recepcji wysokiej kultury rosyjskiej, czego przykładem było zainteresowanie rapsodyków Puszkinem, z zasadami socrealizmu teatralnego w Polsce. Nierealizowanie tych założeń było z kolei, w wyobrażeniu tychże dogmatyków, największym „grzechem” Teatru Rapsodycznego. To nie wróżyło Teatrowi Rapsodycznemu nic dobrego. □

M. T.

MIECZYŚLAW JAKUBIEC

Z NADZIEJĄ...

Przyznam szczerze, iż sądziłem, że agresja rosyjska na Ukrainę skończy się dla tej ostatniej utratą Dombasu, a może i bezpardonowym przyłączeniem całych samozwańczych republik do Rosji. Plan taki tkwił z pewnością w głowie Putina. Jednakowoż, jak wynika z jego coraz „szczerzych” wypowiedzi, marzy mu się scalenie ziem starego ZSRR – choćby pod pretekstem ochrony praw Rosji i ludności rosyjskojęzycznej zamieszkałej w Estonii (Narwa), na Białorusi, w Ukrainie wschodniej, na Krymie; czy w każdym kraju, gdzie Rosjanie będą, czy – jego zdaniem – są „dyskryminowani”.

Próba scalenia Słowian wschodnich (pod berłem Moskwy) nieobca jest również „słowianofilowi” Łukaszence. Pewnie większość Białorusinów jest innego zdania i pewnie obserwują z niepokojem wojnę rosyjsko-ukraińską tuż za własną granicą, która jest *de facto* naruszana przez wojska rosyjskie do woli.

Putin paradoksalnie osiągnął cel inny niż zamierzał. Zjednoczył Europę, choć czynił i czyni wszystko, by ją podzielić, przybliżył Stanom Zjednoczonym stary kontynent z jego aktualnymi problemami i uruchomił najskuteczniejszą ich pomoc w „środki obronne” i finansowe na rzecz Ukrainy. Generalnie pomoc Ukrainie płynie w różnych formach: głównie militarna, ale i finansowa, i wreszcie krzepiące, gorące poparcie, choć Ukraińcy błagają o więcej broni i amunicji. Podjęte przez

większość krajów sankcje administracyjne i gospodarcze wobec Rosji dają już odczuwalne efekty, szczególnie wobec mieszkańców dużych miast. Mniej wobec prowincji. Dotkliwie odczuwa je przemysł kooperujący w obszarach licencyjnych. Sankcje, niestety, powodują problemy gospodarcze także u samych ich autorów, którzy mając na uwadze wyniki zbliżających się wyborów i pojawiające się niepokoje społeczne, pomoc Ukrainie deklarują werbalnie i realizują opieszale.

Na dzisiaj sytuację trzeba nazwać patową. Wojna toczy się ze zmiennym szczęściem dla Ukraińców. Mimo całej sympatii i pomocy dla tego udręczonego narodu, trudno dziś przesądzić o jego zwycięstwie. Rosja co prawda jest jakby w odwrocie, Ukraińcy mówią o udanej kontrofensywie, ale potencjał ludzki i militarny Rosji przeważa i może przesądzić o końcowym wyniku tej wojny.

Działania wojenne spowodowały niespotykaną w tej części Europy migrację ludności ukraińskiej. Ocenia się, że granicę z Polską przekroczyło około sześć milionów osób, głównie kobiet, dzieci i seniorów. Mężczyźni walczą na froncie, bądź zapewniają logistykę. Polska przyjęła „pod dach” około cztery i pół miliona uciekinierów. Często nasz kraj jest trasą tranzytową w głąb Europy. Uciekinierzy ratują się pozostawiając za sobą ruiny domostw, zabitych najbliższych, zniszczony i rozgrabiony dorobek całego życia. W wyzwolonych



Помощь для Украины Допомога для України

miejskach wojsko znajduje setki zwłok cywilnych ofiar, często ze śladami tortur i zniewolenia. Dowody niewyobrażalnego barbarzyństwa i zbrodni są dokumentowane. Często udaje się ustalić personalnie sprawców tych niecznych czynów. Może rychło zostaną osądzeni i ukarani. Taką mają nadzieję ci, którzy przeżyli.

Piszę o tym wszystkim, by utrwalić w pamięci obrazy i opisy barbarzyństwa i zdziczenia ludzi w XXI wieku doprowadzonych do tego stanu przez obłąkanego „kagiewca”, który chce sprowokować konflikt w skali światowej.

Warto jeszcze raz zwrócić uwagę na zróżnicowaną reakcję państw europejskich na wojnę ukraińsko-rosyjską, np. w Polsce. Społeczeństwo polskie zareagowało spontaniczną pomocą Ukraińcom w sposób zaskakujący. Opieszały nasz rząd nie ruszył nawet przysłowiowym palcem, by opanować sytuację, by zorganizować jakąś pomoc dla fali uchodźców. Zrobili to z serca zwykli ludzie, samorządowcy, organizacje charytatywne – tylko nie rząd, który z działania i pomocy poczuł

się rozgrzeszony. Ukraińcy doceniają pomoc i dziękują. Po „pewnym” czasie pozytywnie zareagowało środowisko okołoprezydenckie, w końcu „bohatersko” na Ukrainę ruszył sam Prezes. W rzeczywistości niestrudzony wolontariat polski odbudował zszarganą opinię o Polsce i Polakach. Czy trwale? To się okaże. Skąd ten znak zapytania? To pytanie obecnie trzeba skierować do statystycznej Polki i Polaka. Gdyby zbadać opinie obojga dowiedzielibyśmy się, że mieli przyjechać biedni Ukraińcy, używanymi samochodami, kiepsko ubrani, a tymczasem oglądamy niezłe Volvo, świetnie ubrane (w Paryżu) Ukrainki, dzieci w ciuszkach jak z żurnala. Oglądają kwatery: „takie skromne i w Warszawie?” „No to może w Krakowie lepsze?” „A dlaczego na zad...u?” (choć czyste i schludne).

Po prostu Polacy nie znają przeważnie Ukrainy. Pod powiekami mają obraz tranzytowego Lwowa i Terespoła z lat siedemdziesiątych w drodze do „demoludowej” Rumunii, albo w najlepszym przypadku do jubilera na Ljewobierieżnoj w Kijowie.

To nie koniec rozczarowań czy pretensji Polaków „w kwestii ukraińskiej”. „Dlaczego Ukraińcy mogą bez wyczekiwania tygodniami na specjalistę korzystać z porady lekarskiej? Dlaczego ich dzieci dostają miejsce w przedszkolu. Dlaczego to? Dlaczego tamto? Owo?

Ludzie!!! Chcieliście serdecznie pomóc, to oferujcie to, co najlepsze, ale... Ale nikt nie powiedział, że wojna potrwa dłużej niż tydzień, że i pomagającym i „pomaganym” zacznie ona doskwierać na co dzień, że kłopotami trzeba się będzie dzielić „po równo”. Braliście to pod uwagę, jedni i drudzy?

P.S.

Przypomnę, choć to nic odkrywczego, że Polacy z dyplomem uniwersyteckim w kieszeni (tacy jeszcze żyją) zaczynali na Zachodzie pracę na zlewozmywaku. Teraz ukraińscy specjaliści dostają pracę w Polsce od ręki w swoim zawodzie. Zlewozmywak w Europie teraz obsługują na ogół ludzie bez kwalifikacji i bez znajomości języków obcych.

Rosyjski żołnierz, grabiąc ukraiński dom, zdziwiony telefonuje do swojego domu: „ONI mają kafelki w toalecie i ciepłą wodę w kuchni!”

Dlaczego ONI mają? Bo są już jedną nogą w Europie. A ty, zielony, ludziku?

ZRYTY BERET

Kiedyś, już całkiem dawno, mój wnuk rzucił mimochodem skrzydlatą myśl, że ktoś (kogo on nie lubi), ma „zryty beret”.

Oniemiałam. Poprosiłam o wytłumaczenie, o co z tym beretem chodzi.

Mój ukochany wnusio dyskretnie wzniosł oczy ku niebu i z cicha westchnął. Nie wyglądało to na manifestację podziwu dla babcinego intelektu. Wnuk jednakże ze wszystkich sił starał się być grzeczny.

- Oj, babciu! Zryty beret jest przecież symbolem totalnego zidiocenia, głupoty, katastrofy umysłowej, no wiesz...

- Wiem, ale co temu komuś (lub kto) zryło beret?

Tym razem mój wspaniały wnuk kompletnie zbaraniał.

- Babciu! O co ci chodzi? Nie rozumiem pytania.

Teraz i ja miałam okazję wznieść oczy ku górze i westchnąć.



Pablo Picasso – Kobieta w czerwonym berecie

- No, to proste. Jeżeli ktoś ma „zryty beret”, to ktoś (lub coś) tego „zrycia” dokonał, no nie? Przecie żaden beret sam się „nie zryje”. Do tego potrzeba sprawcy. Mam rację?

- Teoretycznie tak, babciu. Ale przecież znam takich, którym taki „zryty beret” przyrósł do łba na amen. I nic się z tym nie da zrobić. Przecież sama takich znasz, co?

Wyobraziłam sobie (a wyobraźnię mam jeszcze dobrą) całe rzesze ludzi, a każdego z takim właśnie „zrytym beretem” na łbie. Ileż to takich beretów byłoby potrzeba – choćby na naszym krajowym podwórku?

Podzieliłam się tą myślą z wnukiem. Właśnie dopijał herbatę. Zakrztusił się. Gdy odzyskał oddech, stwierdził, że produkcja takich beretów mogłaby przysporzyć naszemu państwu całkiem niezłej kasy.

- Zapominasz, mój drogi, że gospodarka bywa najczęściej zjawiskiem komplemen-

- To znaczy?

- To znaczy, mój drogi, że masowo wyprodukowane berety KTOŚ musiałby zryć. Jasne? I znowu ileś fajnych miejsc pracy.

- Babciu, a CZYM te berety należałoby zryć, tak na przykład?

Tutaj i ja i mój zacy wunok równocześnie parsknęliśmy śmiechem. Śmialiśmy się długo. Zupełnie jakbyśmy mieli zryte berety.

Wnuk poszedł na trening. Bez beretu. W sportowej czapce. Ja zaś włączyłam telewizor. Akurat nadawano uroczystą transmisję z bardzo uroczystej uroczystości państwowo-patriotycznej. Uczestnicy? Postacie z górnej półki życia politycznego. Krew z krwi, kość z kości naszego szczepu piastowego. Świątowano kolejne otwarcie jakiejś drogi. Wodnej. Tak mi się wydawało.

Patrzyłam na tę galę. Była piękna i podniosła. W pewnym momencie odczułam dyskomfort. Spostrzegłam, że wszyscy wielcy mieli gołe głowy. Szkoda.

Babcia

HERBATKA Z MISIEM PADDINGTONEM

Czy symbol może umrzeć?

Takie pytanie odezwało się jak świat długi i szeroki w chwili, gdy Elżbieta II zamknęła oczy. Wydawałoby się, że oto jesteśmy świadkami banału w skali makro. Banału, bo przecież wiadomo, że kto żyje – umrzeć musi. Banału, bo Jej Królewska Wysokość zmagala się z trudami panowania od siedemdziesięciu lat, a zmarła w kilka tygodni po swych dziewięćdziesiątych szóstych urodzinach. Czego więc było się spodziewać?

A jednak, odszedł symbol. Dla wielu jednoznacznie pozytywny, budujący, jednoczący i łagodzący podziały. Dla innych symbol skostniałego reżimu, kosztownych i pompatycznych obrzędów, niezrozumiałych obyczajów, skrzętnie ukrywanych tajemnic i skandali rodowych.

Jedni w zmarłej „Lilibeth” widzieli nobliwą starszą panią, uśmiechającą się z wyrozumiałością wobec ludzkich słabości, niewiedzy i niezręczności.



Kadr z okolicznościowego filmu

Inni dostrzegali władczynię rządzącą żelazną dłonią w jedwabnej rękawiczce. Wciąż uśmiechniętą.

A jeszcze inni nie kryli zdumienia faktem, że o swej rodzinie mówiła „firma”. Ponoć obowiązywały w niej najostrejsze, korporacyjne zasady. Kto nie nadążał, bądź się buntował – odpadał.

Niektórzy mało zorientowani (a tych jest najwięcej) dziwili się niepomernie, że Elżbieta II jest jednocześnie zwierzchnikiem kościoła anglikańskiego. No, bo jak to? Głowa państwa, a na dodatek kobieta? I biskupi, pastorowie, kobiety-kapłani jej słuchają?

No i co z tego, że tak jest? Tak jest i uczciwiej, zdrowiej i bardziej logicznie. Cóż to dziwne, że jakkolwiek Kościół ma rozsądne poczucie swojego miejsca i nie rozumie polityki jako pola stwarzania konfliktów i wiecznego knucia. Tak... To dziwne.

Monarchia brytyjska i jej obywatele stracili pewien symbol. Czy przeżyjemy tę stratę? Myślę, że chyba tak, chociaż z pew-

nością nie będzie to ta sama Wielka Brytania.

Na koniec pewna refleksja. W mediach pojawił się krótki filmik z Elżbietą II i miśmiem Paddingtonem w rolach głównych. Sytuacja surrealistyczna: herbatka u Królowej. Miś – wiadomo – obdartus i fajtłapa w swojej niezgrabności wprowadza niezły bałagan w poukładany protokół dworski. Nagle z kapelusza wyjmuje prozaiczną kanapkę (chyba z marmoladą) i pokazuje monarchini, że zawsze ma tę przekąskę – tak na wszelki wypadek. Reakcja Elżbiety II bezcenna: ze swej eleganckiej torebki (służącej jako narzędzie przekazu życzeń Jej Wysokości) Królowa wydobywa... swoją kanapkę. Mówi, że też ma zawsze coś na czarną godzinę.

I wtedy miś Paddington zdejmuje z rozczochranego łba kapelusza i cichym, wrzuszonym głosem mówi: Wasza Królewska Wysokość, dziękuję, dziękuję za wszystko...

Ot – i tyle.

Marchońt

KRONIKA

Jak co roku, czwartego lipca spotkaliśmy się pod popiersiem Tadeusz Boya-Zeleńskiego na naszych ukochanych plantach. Jak na czas wakacji i trudny do zniesienia upał było nas całkiem sporo.

Jak zwykle miło nam było Gościć p. Roberta Piaskowskiego, pełnomocnika Prezydenta Miasta Krakowa, prof. Jacka Majchrowskiego. Tradycyjnie p. R. Piaskowski złożył u stóp pomnika wieniec od władz miasta i wygłosił jak zwykle piękne i mądre słowa ku czci naszego Patrona.

Poniżej prezentujemy fotomontaż autorstwa Adama Manterysa.

Spotkanie z Boyem pod Boyem – 2022

Jak co roku, tak i dzisiaj – 4 lipca 2022 – spotykamy się tutaj nieodmiennie, choć w nieco zmienionym składzie.

Spotykamy się zawsze w tym samym celu: aby wyrazić nasz głęboki żal z powodu przedwczesnej śmierci Tadeusza Boya-Zeleńskiego. Miał bowiem 67 lat, gdy został rozstrzelany przez hitlerowców w ramach czystki polskiej inteligencji lwowskiej, a w szczególności profesury Uniwersytetu Jana Kazimierza, która to uczelnia wtedy, tj. od r. 1939, nazywała się Lwowskim Uniwersytetem Państwowym im. Iwana Franki. I zwracamy uwagę, że hitlerowcy wiedzieli, kto najbardziej zagraża „nowemu ładowi” Trzeciej Rzeszy. Zauważamy, że była to kontynuacja serii eksterminacji narodu polskiego.

Przygrywką niejako była Sonderaktion Krakau, tj. wywózka części kadry UJ i Akademii Górniczej do obozu Sachsenhausen 6 listopada 1939 (183 osoby), a mianowicie tych, którzy przyszli na zaproszenie SS-Sturmbannführera Brunona Müllera, obiecującego im wykład na temat stosunku III Rzeszy do nauki polskiej. Pretekstem tej akcji było to, że UJ rozpoczął rok akademicki bez zgody władz niemieckich. Była to sto-

sunkowo łagodna reprimenda, bo nawet trzy obecne na tym spotkaniu kobiety zostały zwolnione. Jednak mężczyźni byli pędzani kolbami karabinów tudzież groźbą Müllera, że opierający się wykonaniu rozkazu o wywiezieniu do obozu koncentracyjnego zostaną zastrzeleni. No i w końcu większość internowanych została zwolniona w następnym roku (w trzech turach; młodszy byli w Dachau). Ale naukowcy żydowskiego pochodzenia zostali zamordowani.

Drugim aktem eksterminacji polskiej inteligencji była zbrodnia katyńska, zgotowana narodowi polskiemu przez równie totalitarny system stalinowski. W czasie od 3 kwietnia do 12 maja 1940, głównie w pięciu obozach znajdujących się koło Katynia, Kalinina, Charkowa, Kijowa i Mińska, ułokowano aresztowanych oficerów, podoficerów i policjantów, a zatem ludzi dobrze lub średnio wykształconych. Zamordowano tam w sumie ponad 21 tysięcy ludzi (21768).

O trzecim wypadku z tej serii wspominałem na początku. Tutaj dodam tylko, że na Wzgórzach Wuleckich we Lwowie hitlerowcy zastrzelili 22. profesorów oraz osoby z nimi przebywające.

Auschwitz, Treblinka, Stutthof i wiele innych – to osobny rozdział. Tam zginęły setki tysięcy ludzi wykształconych. Ich brak w okresie powojennym rzucił się cieniem na odbudowę Polski i daje się nam we znaki nadal. Objawia się to m.in. dość powszechną w naszym kraju niechęcią w stosunku do ludzi wykształconych, w szczególności zaś wobec nauczycieli. Prostactwo na tym właśnie polega, że prostak czuje niechęć do człowieka wykształconego. Instynktownie boi się – a tego nauczył się przez wieki – że ten wykształcony (*vulgo* wykształciuch) może go wykorzystywać, jeśli tylko pozwoli się mu na robienie użytku z tej przewagi.

Gdy chodzi zaś o rządzących, to niemal zawsze wykorzystują tę swoją przewagę, że mają instrumenty władzy, żeby łupić poddanych bądź gnębić podwładnych. Częściej jest to przewaga nie tyle mądrości, co siły, determinacji, a przede wszystkim sprytu.

Przy tej okazji – a także w obliczu bestialstwa dziejącego się u naszego sąsiada – wypada wyrazić publicznie głęboki sprzeciw przeciwko nawrotowi stosowania metod rozwiązywania sporów polityczno-granicznych, które to sposoby tak bardzo odstają do naszych ideałów. Wydawałoby się, że mamy to już za sobą – a tu jak na dłoni widać powrót sakralizacji zbrodni wojennych.

Mówi się nam czasem – także charakteryzując nas, jak i działaczy ciągle mało licznych innych stowarzyszeń, zrzeszających ludzi racjonalnie myślących i propagujących racjonalność w myśleniu i czynieniu – że każdy w coś wierzy, a więc że i my też wierzymy w nasze prawdy. Fakt. Istotnie, wierzymy. Ale nie w coś niedookreślonego, co istnieje rzekomo w jakiejś eks-

tra i superprzestrzeni, a przemawia przez swoich heroldów, lecz – by się trzymać tutaj przez chwilę wyrobionego stereotypu wiary – wierzymy w ideę rozumności człowieka.

Przede wszystkim jednak wierzymy sobie nawzajem, czyli ufamy, że nikt z nas nie działa na szkodę drugiego. Ani – tym bardziej – nie szykuje broni, aby mu zrobić krzywdę. To jest cała nasza wiara. Składając zaś kwiaty pod popiersiem Tadeusza Boya Żeleńskiego – dajemy dowód na to, że uważamy, iż gdyby nie został wtedy ani później zastrzelony, to by we właściwy sobie sposób dawał odpór, wraz ze swoim środowiskiem, fali iście bestialskich zbrodni dziejących się obecnie.

Jako filolog *primo voto* podzielię się tutaj z Państwem spostrzeżeniem, że znaczenie wyrazu „bestialstwo” jest skutkiem przekłamania charakterystycznego dla naszej cywilizacji; podobnie zresztą jak wyrazu „zezwierżenie”. Jak poświadcza choćby Pismo Święte, już tysiące lat temu ludzkość pobiła zwierzęta w okrucieństwie; nawet te najdziksze. *Bestia* bowiem to po łacinie „dzikie zwierzę”. A biologia przecież uczy, że żadne, nawet najdziksze zwierzę, nie morduje z jakichś innych powodów niż posiłek gwarantujący życie lub obronę młodych. Ani nie torturuje z metafizycznych motywów. Ale podejście naukowe ciągle u nas wlecze się za mitologią.

Zwołujemy się tutaj corocznie, w okolicy tragicznej daty (noc z 3 na 4 lipca 1941 r.) także po to, by zaświadczyć publicznie, jak to czynimy od lat, iż są jeszcze w Krakowie ludzie niezłomni – w Warszawie zresztą też takich osób jest wiele – którzy dbają zarówno o dobrą pamięć o Tadeuszu Boyu Żeleńskim, jak o powszech-

nianie (choćby na małą skalę) jego myśli; tych najcenniejszych i dzisiaj najpotrzebniejszych. A przeciwników tej dobrej pamięci, propagujących niesławę Tadeusza Boya Żeleńskiego pod błahymi w końcu pretekstami, jest nadal niemało; w szczególności w tej warstwie społecznej, którą On nazywał „naszymi okupantami”.

Lecz kropla też potrafi drążyć skalę, byle spadała wystarczająco długo. My drążymy tę skalę systematycznie – kontynuując dzieło Boya przez cytowanie jego żalów – nadal, niestety, aktualnych – jak i przez publikowanie utworów oraz sentencji innych genialnych autorów, którzy ciągle mogą uczyć tego samego, co On; byleby tylko znaleźli się chętni i zdolni do przyswajania ich mądrości, jak do ich przekazywania innym ludziom.

I tu jest nasze zadanie: propagować mądrość, gdy jej dramatycznie brakuje. W tym duchu planujemy zamieścić w kolejnym numerze Forum Myśli Wolnej między innymi autobiografie „religijne” trzech wybitnych uczonych iście noblowskiego poziomu.

Publikujemy także artykuły i refleksje zwykłych ludzi, takich jak my sami. Zachęcam więc tu obecnych, by uruchomili swoje twórcze zasoby i pisali, albo przynajmniej przyciągali ku nam tych, których my dotąd nie zdołaliśmy. By zachęcali tak do pisania, jak i do pomocy w dziele hamowania tego procesu odwiecznego ogłupiania narodu, które się odbywa również na naszych oczach.

W tym wystąpieniu wspomniałem również o naszej dumie – krakowskim Forum Myśli Wolnej. Jestem zdania, że robimy dobrą robotę, jak by to może nazwał prof. Tadeusz Kotarbiński, nasz drugi patron.

Tak się złożyło i składa, jeśli chodzi o nasz potencjał jako krakowskiego oddziału Towarzystwa Kultury Świeckiej, że w tym momencie nie dysponujemy niczym więcej, jak tylko możliwością wydawania periodyku, którą zawdzięczamy Fundacji Państwa Świeżawskich. Cieszymy się też z moralnego wsparcia Państwa tu obecnych.

Nadzieję zaś na coś więcej można czerpać jedynie z tego, że większość z nas ma bliskich, spośród których mogą się wykluczyć pisklęta podzielające naszą „szkołę” i zdolne do dokonania przerastających nasze „geriatryczne” (jak to niektórzy określają nie bez ironii) możliwości w zakresie upowszechniania wartości kultury świeckiej. Mamy przecież sąsiadów i znajomych, wśród których może znajdują się ludzie skłonni do wspierania naszego dzieła.

Wiemy, że Tadeusz Boy Żeleński był geniuszem i pokazujemy to w kolejnych numerach naszego kwartalnika. Nie tylko jako olśniewająco wydajny tłumacz, lecz także jako pisarz i publicysta trafnie rozpoznający chorobliwe własności tradycyjnego systemu zniewalania narodu.

Był też bowiem w stanie wiele przewidzieć i ryzykując wiele działał wraz z innymi progresistami (jak choćby Irena Krzywicka), aby podnosić poziom przeciętnego wykształcenia narodu, jego higieny osobistej i zbiorowej (mycie się, szczepienia), czy opieki medycznej.

W szczególności zaś troszczył się o bezpieczeństwo samotnych kobiet i dzieci, żyjących i chowanych w tragicznych nieraz warunkach, dzieci niechciany przez ich ojców. Jako lekarz z wykształcenia i z pewnym doświadczeniem wiedział wiele o tym koszmarze i można powiedzieć – po upływie tych około 100 lat

od ukazywania się jego felietonów na ten temat – że jego wysiłki w tym względzie przyniosły pewne pozytywne skutki. Za wyjątkiem, niestety, pokątnego przerywania ciąży, z którym walczył atakując system zakazujący antykoncepcji.

Postęp, oczywiście, jest... tu i ówdzie, w świecie; ale o pełnym sukcesie Boya w tej dziedzinie – choćby tylko w Polsce, jego i naszej Ojczyźnie – nie możemy jeszcze mówić. Nie można jednak o tym milczeć – a to w imię naszych wspólnych ideałów, w które wierzymy, czyli wspólnego dobra; dokładniej – trzeba ze wszystkich sił dążyć do zakończenia tego koszmarnego procederu, jakim jest wywoływanie poronień poza szpitalami, a wynikające go zazwyczaj z obłądnego stanowiska ludzi odpowiadających – jakoby – za zdrowie publiczne.

Boy nie zdołał też przewidzieć tego, co jest niewyobrażalne dla człowieka o jego

formacji duchowej, czyli zbrodniczości systemów totalitarnych. My to wiemy *post factum*; on nie miał tej perspektywy. Znał okropności I wojny światowej, bo opatrywał rannych na dworcu krakowskim. Totalitaryzmy stalinowski i hitlerowski przerosły wyobrażenie i pojęcie nawet takiego geniusza, jak on. Stalinowskiemu totalitaryzmowi się wywinął, lecz hitlerowski go dopadł. Być może wierzył naiwnie, jak wielu – zwłaszcza na Zachodzie – że Niemcy są kulturalni. I nie ukrył się przed nimi.

My też zresztą nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, co nastąpiło na Ukrainie; jak i z tego, co tam się jeszcze może dziać. I nie tylko tam. Niech więc ta nasza skromna manifestacja będzie wyrazem również naszej **niezgody** na tę nieszczęsną powtórkę z historii. □

Józef Kabaj









Z portali – tokfn.pl

Gordejuela - @abuszak

List Prezydenta Stanów Zjednoczonych (USA) Harry'ego Trumana do papieża Piusa XII w Watykanie napisany po zakończeniu II. wojny światowej List opublikował paryski miesięcznik „Sennaciulo” nr 647/195

Szanowny Panie Pacelli.

Jako baptysta i jako głowa jednego z największych i najpotężniejszych narodów świata, gdzie wszyscy nazywają mnie po prostu panem Trumanem, nie mogę stosować zwrotu: Jego Świątobliwość, ponieważ ten tytuł jest zarezerwowany tylko dla Boga. My w Stanach Zjednoczonych uważamy wszystkich ludzi za równych przed Bogiem i zwracamy się do siebie naszym własnym, prawdziwym imieniem. W konsekwencji tego piszę do Pana jako do Pana Pacelli.

Jestem przekonany, że ani Pan, ani Pański Kościół nie należą do tych, którzy prawdziwie szukają pokoju i pracują dla niego. Twórcy naszego narodu, poznawszy całą historię i cechy Pańskiego kościoła, tak bardzo lubiącego politykę i wojnę, ustalili jako główną zasadę obowiązującą nasz rząd, by nigdy papież nie miał prawa mieszać się do naszych spraw. Dobrze poznaliśmy doświadczenie historii Europy i jesteśmy pewni, że nasza demokracja nie trwałaby długo, jeśli pozwolilibyśmy - na podobieństwo rządów europejskich - opłacać się waszymi doktrynami i politycznymi intrygami.

Tomasz Jefferson, jeden z najmądrzejszych ludzi naszego kraju, powiedział jasno: „Historia nie dostarczyła nam

ani jednego przykładu państwa pod wpływami kościoła, któremu udałoby się zachować wolność religijną”.



W konsekwencji Pan nie posiada najmniejszych kwalifikacji, aby móc mnie pouczyć o sposobie prowadzenia mego narodu drogą pokoju. Kilka faktów mogłoby pomóc Panu w odświeżeniu swej pamięci. Pański poprzednik w Watykanie, papież Pius XI rozpoczął atak faszystowski, zawierając układy z Mussolinim w 1929 r. Cywilizacja chrześcijańska w tym roku została haniebnie zdradzona. Sławny pisarz i historyk naszego kraju, Lewis Mumford - ani komunista, ani antykatolik - napisał w książce „Faith for Living” z 1940 r.: „Perfidia świata chrześcijańskiego jasno urzeczywistniła się w 1929 r. przez konkordat, który powiązał Mussoliniego z papieżem”.

Wówczas tylko nieliczni w Stanach Zjednoczonych znali prawdziwe oblicze faszyzmu tak dobrze jak Pan i papież Pius XI, a wy dwaj pomogliście do jego sukcesu i związaliście z nim wasz kościół. Pan sam - jako młody ksiądz i dyplomata - wykonywał specjalne zadanie - pomocy Niemcom w przygotowaniach do drugiej wojny światowej. Spędził Pan dwanaście lat w Niemczech. W porozumieniu z von Pappenem pomógł Pan Hitlerowi wzmocnić się oraz - jako kardynał Pacelli położył Pan podpis pod konkordatem, który powiązał Watykan i Wielkie Niemcy w 1933 r.

Nie udowodni mi Pan swojej niewiedzy o tym, że Hitler i naziści przygotowali spis przeciwko nam. Nawet katoliccy biografowie piszą, że przez wiele lat był Pan najlepiej poinformowaną oso-

bą w całej Trzeciej Rzeszy. Po podpisaniu konkordatu, tak ważnego dla Hitlera, von Pappen, który w Norymberdze z wielkim trudem uratował swoje życie, powiedział: „Trzecia Rzesza jest pierwszym mocarstwem nie tylko uznającym, lecz w dalszym ciągu wprowadzającym w życie szczytne zasady papieżstwa”.

Pańscy kardynałowie i biskupi w Rzymie błogosławili oręż użyty przeciw bezbronny Abisyńczykom. Pański kardynał Schuster z Mediolanu ogłosił podbój Abisynii, jako świętą wojnę, która pozwoli zatriumfować w tym kraju krzyżowi chrześcijańskiemu. Pan rości sobie prawa, aby nadal nazywać swój kościół - Kościołem Bożym i w konsekwencji żądać, abym ja, szef cywilnego, konstytucyjnego państwa zgodził się uznawać Pana jako mojego zwierzchnika, a w ten sposób jako zwierzchnika narodu amerykańskiego.

representation1

Uwaga na fałszywkę!

W Internecie krąży rzekomy tekst listu prezydenta Trumana do Piusa XII, rozpoczynający się od zdania „Jako baptysta i jako głowa jednego z największych i najpotężniejszych narodów świata, gdzie wszyscy nazywają mnie po prostu panem Trumanem, nie mogę stosować zwrotu: Jego Świątobliwość, ponieważ ten tytuł jest zarezerwowany tylko dla Boga” oraz zawierający niewybredny atak na Kościół i papieża, przypisujący mu współodpowiedzialność za faszyzm itd. Tekst opublikował w 1959 roku francuski miesięcznik esperantojęzyczny „Sennaciulo”, będący od samego założenia instrumentem wpływu Związku Sowieckiego na Zachodzie. GRU wykorzystano wspaniałą inicjatywę prof. Zamenhafa, który chciał stworzyć język uniwersalny do swoich własnych celów. Postanowiono uczynić czasopisma esperanckie tubą propagan-

dową. Służby sowieckie zalecały wstępowanie do związków SEU i SAT i abonowanie Sennaciulo i Sennacieca Revuo. Nic dziwnego, że właśnie ten miesięcznik opublikował ów fałszywy tekst. W rzeczywistości Truman i Pius XII bardzo się szanowali, a prezydent USA wielokrotnie używał w stosunku do papieża zwrotu: Wasza Świątobliwość.

Z oryginalnego tekstu listu Trumana do papieża: Wasza Świątobliwość.

Kontynuując podejmowaną od czasu do czasu, zapoczątkowaną 23 grudnia 1939 roku wymianę poglądów na temat skoordynowanych starań o pokój i złagodzenie ludzkiego cierpienia, poprosiłem p. Taylora aby wrócił do Rzymu i wznowił audiencje u Waszej Świątobliwości, w terminach, jakie zostaną uznane za odpowiednie.

Poprosiłem pana Taylora o przekazanie tych słów wraz z zapewnieniem, że staram się współpracować z wysiłkami Waszej Świątobliwości i wysiłkami każdego przywódcy światowych sił moralnych. Naszym wspólnym celem jest pobudzenie i ożywienie wiary ludzi, aby osiągnąć wieczne wartości w naszym pokoleniu – bez względu na to, jakie przeszkody istnieją lub mogą pojawić się po drodze.

Z poważaniem, HARRY S. TRUMAN

Jakmutam – representation1

A są jakieś przykłady na potępienie rzezi i ludobójstwa dokonywanego przez III Rzeszę?

A poświęcenie włoskiej broni idącej na wojnę w Etiopii przez Piusa XI to też wymysł KGB?

bojownicza_hybrydowa – @representation1

Może fałszywka, może nie fałszywka... Ale trafna ta „fałszywka”. To wystarczy.

representation1 – @bojownicza_hybridowa

Tak towarzyszo! Fałszywka zgodna z linią PZPR. Pozdrówcie towarzysza Freuda.

representation1 – @jakmutam:

Papież nigdy nie święci broni, kałmuku!

jael53 – @representation1

Od tego są biskupi polowi i kapelani. Oni podlegają w tej korporacji komu innemu?

iks77 – @abuszak

A przed 39 podwładni poprzednika tego zбочуcha – zaburzeni seksualnie faceci w sukienkach – podjudzali ciemny lud przeciwko Żydom. Nihil novi. Że już nie wspomnę Targowicy, gdzie polscy biskupi szli rączka w rączkę z carycą. Część z nich Kościuszko potem za to powiesił, niestety nie wszystkich.

pan.szklanka

Postawa papieża jest dobrą okazją, aby w ramach sankcji na ruskich, wypowiedzieć konkordat. Roczne utrzymanie Krk w Polsce to koszt porównywalny do pomocy 2 milionom uchodźców. Oto skala.

Stanczykowo – @pan.szklanka

Zdajesz się nie doceniać skali okradania państwa przez tę instytucję. KK kosztuje nas, podatników, 14 średnich pensji na minutę!

Alesieporobilo

Jest XXI wiek, a Wy wciąż przejmujecie się bajdurzeniem jakiegoś starszego pana przebranego w białą sukienkę. Może już czas się z tego otrząsnąć?

miasta.tokfm.pl

Sejmik województwa podkarpackiego, by dostać pieniądze z Unii, jesienią 2021 roku wycofał się z uchwały anty-LGBT. Przyjął nową, mówiącą o tym, że Podkarpacie to „region utrwalonej tolerancji”. Teraz część radnych chce się z tego wycofać. Uznają, że... zostali wprowadzeni w błąd.

We wrześniu 2021 roku radni z Rzeszowa uznali, że - aby odblokować pieniądze z Unii Europejskiej - lepiej będzie wycofać się z kontrowersyjnej uchwały anty-LGBT, przyjętej przez sejmik województwa w 2019 roku. Ten pierwotny dokument mówił m.in. o „sprzeciwie wobec promocji i afirmacji ideologii tak zwanych ruchów LGBT”.

Uchylając homofobiczne stanowisko, radni z Podkarpacia przyjęli inne, mówiące o „utrwalonej tolerancji”. „Jako Radni Województwa Podkarpackiego stoimy na straży, aby równość i poszanowanie praw człowieka, szacunek dla odmiennych poglądów oraz odrzucenie wszelkich prób nienawiści i dyskryminacji ze względu na płeć, wiek, rasę, niepełnosprawność, pochodzenie etniczne, religię, światopogląd lub orientację seksualną były nadrzędnymi wartościami dla wszystkich mieszkańców Podkarpacia” - wskazano w nowym dokumencie.

Jak potwierdził nam Daniel Kozik z biura prasowego podkarpackiego Urzędu Marszałkowskiego, teraz do biura sejmiku wpłynął kolejny projekt. Czytamy w nim, że przyjęcie uchwały o „utrwalonej tolerancji” odbyło się – rzekomo – w drodze manipulacji. Dlatego trzeba go uchylić.

Inicjatorzy nowej uchwały argumentują, że na stanowisko o tolerancji nie zgodził się... Kościół. „Wbrew twierdzeniom jej protagonistów, nie uzyskali oni pozytywnej opinii Kościoła w tej sprawie (...) a to ten argument był kluczowy dla wie-

lu radnych” - dowodzą. „Sposób, w jaki się to odbyło, oznacza w tej sytuacji, iż doszło do wyzbywania się pryncypiów moralnych w zamian za niewspółmierne korzyści wyłącznie materialne - obietnicę środków finansowych”. Pod projektem w sprawie uchalenia „tolerancyjnej” uchwały podpisali się radni Stefan Bieszczad, Jan Dziubiński i Jacek Kotula – wszyscy z PiS.

Inicjatorzy wskazują, że uchwała i jej uzasadnienie mogą być interpretowane „jako przyzwolenie dla propagowania poglądu, że związek dwóch osób tej samej płci może być uważany za małżeństwo oraz że dwie osoby tej samej płci mogą być uważane za rodziców dziecka”. Sejmik ma się tym zająć po wakacjach.

Przypomnijmy, że uchwały anty-LGBT i Samorządowe Karty Praw Rodzin (które też mają wydźwięk homofobiczny) zostały przyjęte przez około sto samorządów w Polsce. Część z nich już się z nich wycofała, w obawie przed utratą unijnych funduszy. Komisja Europejska postawiła bowiem sprawę jasno – samorząd, który popiera homofobię, nie ma co liczyć na unijne wsparcie. Jako, że w grę wchodzi ogromne pieniądze na rozwój poszczególnych gmin, powiatów czy województw – radni zmieniają swoje decyzje i wycofują się z kontrowersyjnych zapisów.

Gblo:

Od kiedy to kościół ma wyrażać zgodę na cokolwiek. Podobno haniebnym i upokarzającym konkordat przewiduje autonomię państwa i mafii watykańskiej. (...)

Izaakcyprensztajn – @gblo:

Art. 25. Konstytucji RP: Stosunki między Rzeczpospolitą Polską, a Kościołem katolickim określają umowa międzynarodowa zawarta ze Stolicą Apostolską i ustawy.

Przypomnijmy tylko jeszcze, że ta umowa jest częściowo niejawna.

mkII95 – @gblo:

Dokładnie tak. Czas najwyższy wypowiedzieć absurdalny i haniebnym konkordat.

spokojny4:

My nawet nie czujemy, jakim prymitywnym narodem jesteśmy. Dyrektor Turowa modlił się na Jasnej Górze o pozytywne załatwienie problemów z zamknięciem kopalni. A wystarczyłoby wcześniej dogadać się z Czechami. Tak jak to zrobiono teraz i żadna bozia nie była do tego potrzebna. Tym bardziej że Czesi to najbardziej ateistyczny naród w Europie.





■ Cierpienie to stan wewnętrznej samotności, któremu nie może pomóc nic z zewnątrz.

Emil Michel Cioran

■ Jedna godzina bóleści więcej nas uczy niż sto dni radości.

Karol Antoniewicz

■ Rzeczywisty ból wystarcza, aby nas wyleczyć z cierpień urojonych.

Samuel Taylor Coleridge

■ Co za bzdura, że cierpienie wzbogaca. Znacznie więcej uczymy się, kiedy jesteśmy szczęśliwi.

Francoise Sagan

■ Śmiech jest dla duszy tym samym, czym tlen dla ptaka.

Louis de Funè's

■ Człowiek nie boi się śmierci, lecz cierpienia.

Witold Gombrowicz

■ Humor jest bronią; należy karać za nielegalne posiadanie dowcipu.

Stefan Jaracz

■ Nasze smutki są radościami naszych wrogów.

Ajschylos

■ Zawsze istnieje człowiek bardziej cierpiący od ciebie.

Ezop

■ Ludzie w nieszczęściu szybciej się starzeją.

Homer

■ Nasze namiętności często stają się naszym nieszczęściem.

Sigmund Freud

■ Nie ma w szczęściu i w nieszczęściu niczego, czego sami sobie nie zgotowaliśmy.

Mencjusz

■ Bardzo łatwo jest zniszczyć szczęście bliźniego, ale jakże trudno je naprawić!

Johann Gottfried Herder



Projekt okładki: Piotr Augustynek

Kompozycja stron: Artur Koziół

Grafiki: Piotr Augustynek. Zdjęcia: Antoni Pietryka, zasoby internetu



Teofil Ociepka
Bazyliśzek